

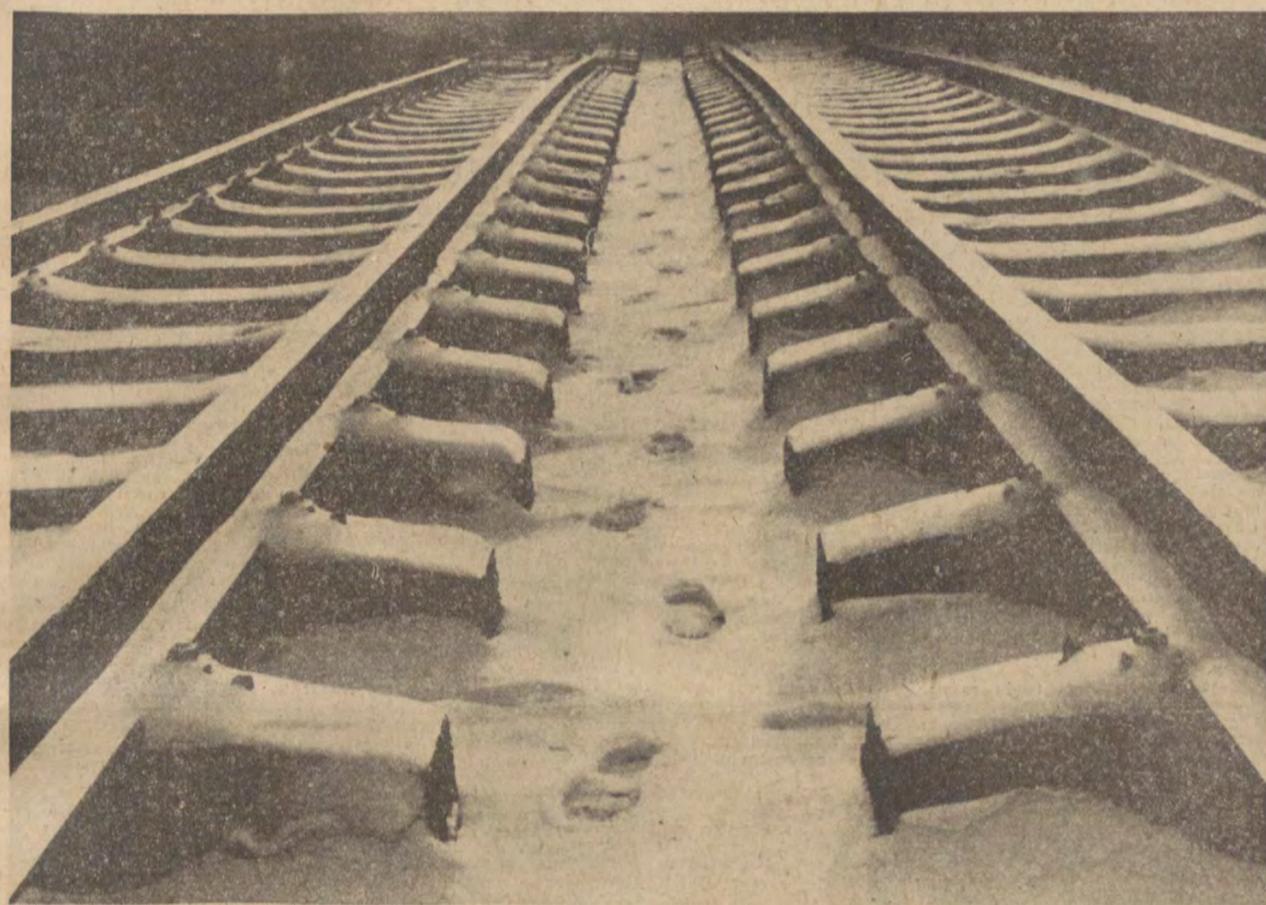
Dziś w numerze: • Pisarstwo a działalność społeczna • Autoportret za 1 dolara, 65 centów • Reportaż bez bohatera • Raport w sprawie hotelu • Katechizm Bazylego Tereka • Moralność po szwedzku • Recenzje • Felietony

# odgłosy



Nr 7 (421)  
19. II. 1967 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



## Jerzy Putrament o literaturze współczesnej

Do znanego pisarza, autora wielu powieści i zbiorów opowiadań, publicysty i działacza politycznego, Jerzego Putramenta, zwróciliśmy się z prośbą o wywiad dla naszego pisma. Jerzy Putrament, pełniący funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego ZLP i zastępcy redaktora naczelnego w „Miesięczniku Literackim”, należy bez wątpienia do najbardziej czynnych i aktywnych pisarzy polskich. Oto nasze pytania i odpowiedzi Jerzego Putramenta:

**ODGŁOSY:** Od pewnego czasu literatura nasza znajduje się pod ostrzałem krytyki. Krytycy zarzucają pisarzom, że stronią oni od problematyki życia współczesnego. Jak Pan, jako pisarz nie stroniący raczej w swej twórczości od spraw współczesnych, ocenia, po pierwsze, te zarzuty, a po drugie — stan zainteresowań pisarzy problematyką dnia dzisiejszego?

**J. PUTRAMENT:** Myślę, że pisarze nasi rzeczywiście mało uwagi poświęcają naszej współczesności. Wynika to przede wszystkim ze zbiegu dwóch przeciwstawnych przyczyn. Po pierwsze: cały szereg pierwszoplanowych problemów polskiej współczesności, ze wzglę-

du na swoje bezpośrednie implikacje polityczne utrudnia pisarzowi pełne zaangażowanie się w tę tematykę, straszy go możliwość kolizji niejako administracyjnych. Po drugie: pisarze nasi — częściowo ze względu na punkt pierwszy — tym chętniej przyjmują panujące na Zachodzie mody, w których materiał literacki tak jest rozbrany w stylistycznych czy strukturalnych arabeskach, że miejsce i moment historyczny nie grają w nim żadnej roli.

**ODGŁOSY:** Jeździ Pan często za granicę, i to zarówno na Wschód jak i na Zachód. Jakże miejsce, Pańskim zdaniem, zajmuje nasza literatura na tle literatur innych narodów, a także — jakże widzi Pan szanse dla naszej literatury we współczesnym świecie?

**J. PUTRAMENT:** Miejsce to jest wysokie, zarówno na Wschodzie, jak i w pewnych krajach Zachodu. Oczywiście, i Wschód i Zachód szukają w naszej literaturze czegoś innego. Nie zawsze powodzenie naszych pisarzy wynika tylko z walorów ich dzieł. Wiemy, że np. w NRF w ostatnich kilku latach wydaje się po kilkanaście polskich przekładów rocznie i więcej, niż w jakimkolwiek kraju świata. Śmiem twierdzić, że poza podziwem artystycznym jest w tej akcji wyraźna kalkulacja polityczna. Szanse literatury polskiej, oczywiście, nie polegają na tym. Jesteśmy punktem krzyżowania się Wschodu i Zachodu, jesteśmy geograficznym środkiem Europy. Powinniśmy pomagać tym dwóm połowkom naszego kontynentu w wymianie dóbr artystycznych. Zachodowi nawala ideologia, Wschodowi przetrząsają się na lokciach różne formy... Gdybyśmy byli ideowi i odkrywcy, ba, jaka wspaniała przyszłość...

Boję się, że praktyka jest inna. Ci, co piszą „na Zachód”, starają się błysnąć swoim ideowym rozczarowaniem, ci, co piszą „na Wschód” — tradycjonalistami formy. Nie rojukę w tym wariancie trwałych sukcesów.

**ODGŁOSY:** A teraz może parę słów o naszym życiu literackim, o czasopiśmie i sytuacji wydawniczej. Czy uważa Pan, że

życie literackie, ruch literacki rozwijają się w sposób zadowalający, czy też nie. Jeśli nie — jakie przyczyny hamują ten rozwój?

**J. PUTRAMENT:** Najważniejszą przyczyną zahamowań naszej literatury już zdążyłem podać i na pewno co pojętniejszy czytelnik ją dostrzeże. Oprócz niej wielkim hamulcem jest baza poligraficzna naszej literatury. Rozsypuje się ona katastrofalnie, nie tylko, że stara, ale i, że źle kierowana. Życie literackie? Ukazuje się pewna ilość ciekawych dzieł, co roku, mniej więcej. Że to życie prowincjonalne, że nie żyje palącymi problemami ludzkości, że np. tak mała reakcja wywołuje w tym życiu to, co Amerykanie wyczyniali w Wietnamie, to fakt. Czym to wytłumaczyć? Nie wystarczy naśladować stołecznej mody w strojach i wierszach, żeby przestać być partykularzem.

**ODGŁOSY:** Czy mogę Pana zapytać, jak Pan ocenia łódzkie środowisko literackie? Oczywiście proszę o ocenę nie grzecznościową.

**J. PUTRAMENT:** Łódzkie środowisko kulturalne należy do najsilniejszych w kraju. Dowodem jego możliwości jest choćby wydawany w przyzwrotnym nakładzie własny tygodnik literacki. Niepokoi mnie cokolwiek słaba pisarska aktywność pewnych literatów łódzkich, których zdolności znam doskonale. Być może wpływa na to obojętność stołecznej krytyki na wszystko, co polskie, a nie warszawsko-krakowskie.

**ODGŁOSY:** I pytanie ostatnie: co Pan pisze i czego mogą się spodziewać od Pana Pańscy czytelnicy? Czy ostatni Pana pobyt w Indiach utrwalił się w jakimś utworze literackim?

**J. PUTRAMENT:** Ciągłe mecze się z „Małowiernymi”, które tkwią na pewnym szczeblu produkcyjnym. Piśzę reportaże z Indii. Wydam je zapewne w wydawnictwie MON. W Poznaniu wydaje parę nowelek. Co dalej, zobaczymy. Już się nie ma tego rozmachu, co dawniej.

WYWIAD PRZEPROWADZIŁ:  
JAN KOPROWSKI

KONRAD FREJDLICH

## TESTAMENT

W okolicy nazywają ją po prostu panią Celiną. Niekiedy także panią Celą.

— Pani Cela kupuje u nas pieczywo — z dumą powiadają w sklepie spożywczym.

— Pani Celina teraz na całe dni wychodzi z domu — informuje sąsiadka — córce dzieci przypilnować.

Ale pani Celina ma także nazwisko, historyczne już nazwisko, jedno z najlepszych w dziejach miasta Tomaszowa.

1.

Kiedy rozmawiam z nią telefonicznie, zrazu protestuje. Dużo ją kosztuje każde wspomnienie tamtych okrutnych lat.

— Bo wie pan, ja często płakałam — mówi wyrazistym, niemal dźwięcznym głosem i kiedy urywa, w słuchawce rozlegają się nieco stłumione, rozbawione głosy dzieci. — I obiad muszę przyszykować.

Kiedy przychodzę, w kilka godzin po naszej telefonicznej rozmowie, Cecylia Banaszkiewiczowa jest już spokojna.

— Ale umówmy się, że i pan mi trochę pomoże. Bo widzi pan, ja mam do tego wszystkiego zbyt osobisty stosunek. A skoro chce pan spisać z naszej rozmowy kronikę okupacyjnych dni w Tomaszowie, proszę mi przerywać, kiedy zanadto drobiazgowo będę mówiła o tym, co mnie samej wydaje się najważniejsze.

I gdy się zastanawia od czego zacząć, opuszczając dlonie na kolana, przez mgnienie zauważam na jej ręce wytatuowany numer oświęcimski: 24180.

2.

Kiedy zaczyna opowiadać, w głosie jej drgają ledwie wyczuwalne nutki wzruszenia. Przeprasza więc i na chwilę wychodzi do wnuczki, które bawia się w drugim pokoju. I jakby z zabawy tych dzieci czerpała nowe siły, wraca po chwili już opanowana.

Czy byłam na Zapiecku? To taka ulica w Tomaszowie. Jest tam teraz szkoła muzyczna, wnuczka tam uczęszcza. Przed wojną mieszkała się tam „Kropka Mleka”, w czasie okupacji — gestapo. Na Zapiecku zginął mąż Cecylii Banaszkiewiczowej. Był nieludzkim ko bity. Znajomi Niemcy twierdzili, że sam odebrał sobie życie. Znajomi to znaczy moi stawi, bardziej zajadli nawet od tych co przyjechali z Rzeszy. Zнали męża, bo był pilkarzem i przed wojną występował w barwach tomaszowskich klubów sportowych przeciwko niemieckiej „Victorii”. Zнали go również stąd, że już przed wojną był komunistą, cała właściwie rodzina. Mąż siostry, Tuchowski jako kapelowiec został kiedyś oskarżony o zabójstwo granatowego policjanta w Tomaszowie. Groziła mu kara śmierci. Ale na procesie bronili go sławny Duracz i zdemaskował prokuratora. Szwagier został skazany na 4 lata więzienia.

Kiedy poznała swego przyszłego męża, nie przypuszczała, że on też działa w ruchu. Dowiedziała się o tym zupełnie nieoczekiwanie w czasie randki. Nie, żeby jej powiedział. To było całkiem inaczej.

Stali obok siebie na chodniku i on głośno wypowiadał swoje zachwyty, jakie zakochany chłopak zazwyczaj mówi dziewczynie. Na końcu uliczki, gdzieś koto straży pożarnej pojawił się robotniczy pochód.

Kiedy tak stali całkowicie sobą, zajęci, nieoczekiwanie nad ich głowami zatopotał zawieszony na przewodach elektrycznych czerwony sztandar. Mogłaby przysiąc, że go jeszcze przed chwilą nie było.

— Cela, nie nie widziałaś?

— Nie, nie widziałam — powiedziała.

— To dobrze. Znaczą, że inni też nie widzieli.

W 1932 pobrali się. W dziesięć lat później mąż już nie żył. Ja aresztowano tej samej nocy, co i męża. Siedziała w celi na Zapiecku i tam, gdzie jest teraz fabryka żył — cztery dni i cztery noce. Potem był Oświęcim, Ravensbrück i Oranienburg. Córke wychowywali dziadkowie.

Dalszy ciąg na str. 3



WŁADYSŁAW GOMULKA przypomina: „Hitlerzy i wojny nie spadają z nieba. Rodzą się na ziemi w określonych warunkach. Ich poród trwa długie lata. Naszym zadaniem, zadaniem wszystkich światowych sił postępu i pokoju jest niedopuszczenie do takich porodów...”

ALEKSIEJ KOSYGIN proponuje: „...uważalibyśmy za możliwe zawarcie między Związkiem Radzieckim i W. Brytanią układu o przyjaźni, pokojowej współpracy i nieagresji”.

W WARSZAWIE obradują ministrowie spraw zagranicznych państw — członków Układu Warszawskiego.

W WASHINGTON — mimo pozytywnych sygnałów z Hanoi, apeli U Thanta i papieża — odrzuca szansę pokojowego uregulowania konfliktu wietnamskiego.

W PEKINIE nie ustają awanturnictwa wobec przedstawicieli dyplomatycznych krajów socjalistycznych.

BONN ustami Brandta formuluje w USA warunki (1), na jakich Niemcy zachodnie mogłyby przystąpić do układu o antyrolifernym broni nuklearnej.

W PARYŻU — na 4 dni przed otwarciem kampanii wyborczej — de Gaulle atakuje siły opozycyjne. Mitterand replikuje: „Kiedyś de Gaulle był de Gaullem. Obecnie jest tylko gaulista”.

Oto w największym skrócie, co przyniosły ostatnie dni na scenie międzynarodowej. Komentator nie może narzekać na brak tematów. Więcej nawet — musi się zdecydować na podjęcie tylko niektórych. Wybierzmy więc dwa: problem niemiecki i rozmowy radziecko-brytyjskie.

Z uporem, godnym problemu, trzeci już raz chce pisać o tzw. „nowej polityce wschodniej” Bonn. Wskazywałem poprzednio na różne aspekty tego zagadnienia. Dziś zwracam uwagę na ten, który zmierza do izolacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Jak Czytelnicy wiedzą — niełatwo prowadzić politykę zachodniomiejscową. Była doktryna Hallsteina. Wychodząc z uzurpowanego sobie przez Bonn prawa do reprezentowania całych Niemiec — doktryna ta zakazywała nawiązywania stosunków z krajami, które uznają NRD. Założenie to, od dawna ostro atakowane w samych Niemczech zachodnich, wprowadzające je w izolację, teraz niby zostało zmodyfikowane. Nie odrzucono jednak istoty doktryny — rozszerzono do wyłącznego przedstawicielstwa Niemiec, a odwrotnie — w momencie nawiązywania stosunków z Rumunią — oficjalnie je potwierdzono. Zamyśl Bonn jest więc przejrzysty: unormować stosunki z krajami socjalistycznymi, oczywiście bez NRD, która dla polityków bońskich „nie istnieje”, a tym samym wprowadzić ją w izolację.

Chętnie przy tym Kiesinger i jego pomocnicy wyliczają, jakie to rzekomo korzyści wyniknąć mogą dla Europy z tak pomyślanej normalizacji.

Nie trzeba zapewne nikogo w Polsce przekonywać, że to nie brak sto sunków dyplomatycznych NRF z krajami socjalistycznymi jest przyczyną napięcia europejskiego. Jest nią polityka Bonn, niepotwierdzająca stałości granic i zmierzająca do „współposiadania” broni nuklearnej. Ta przyczyna jest niebezpieczna wewnętrzny rozwój wydarzeń w NRF, gdzie w życiu politycznym dochodzi do głosu neo-hitlerowcy.

Cała więc „nowa polityka wschodnia” jest po prostu bluffem, obliczonym na wprowadzenie w błąd opinii publicznej, na stepienie jej czujności. I właśnie przed tym ostrzegają z trybuny katowickiej konferencji Władysław Gomulka.

Problem niemiecki przewijał się również przez rozmowy premiera Kosygina z brytyjskimi gospodarzami. Sześć rządów radzieckich oświadczyło zdecydowanie, że przywódcy NRF powinni uznać nienaruszalność powojennych granic oraz nie zamykać oczu na istnienie drugiego państwa niemieckiego.

W jakim stopniu zagadnienie to znajduje swe odbicie w końcowym komunikacie radziecko-brytyjskim — dowiedzą się Czytelnicy z doniesień agencyjnych.

Wizyta premiera Kosygina, jeszcze przed jej zakończeniem, a więc już w chwili, kiedy przygotowuje komentarz do druku, może być uznana za owocną. Mimo początkowych przewidywań obserwatorów, że rozmowy dotyczyć będą przede wszystkim kontaktów dwustronnych, stało się inaczej. Dokonano przeglądu wszystkich ważniejszych zagadnień międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii wietnamskiej, bezpieczeństwa Europy i problemu rozbrojenia, a w tym zwłaszcza roli ZSRR, USA i W. Brytanii w niedopuszczeniu do rozpowszechniania broni nuklearnej.

Uznając obecną sytuację międzynarodową za niepokojącą i akcentując konieczność szybkiego usunięcia źródeł tego stanu premier Kosygin zarówno w swym głosie w parlamencie brytyjskim, jak w wywiadzie dla londyńskiej telewizji — wskazał na drogi prowadzące do poprawy klimatu. Zapełował on do USA o bezwarunkowe wstrzymanie bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu, podkreślił znaczenie konstruktywnych propozycji Hanoi oraz niezbędność rozstrzygnięcia konfliktu na płaszczyźnie politycznej. Zaoferował on także W. Brytanii układ o przyjaźni i pokojowej współpracy.

Z wypowiedzi szefa rządu radzieckiego wynika, że w czasie spotkań z gospodarzami przedłożył on swym rozmówcom szereg ważnych propozycji, które studiowane są z największą uwagą. Prasa światowa poświęca tej wizycie wiele miejsca na swych łamach, zastanawiając się nad jej reperkusjami. Przeważa ton nadziei na złagodzenie światowego napięcia.

W. SŁAWSKI

## Kronika TYGODNIA

■ Premier Demokratycznej Republiki Wietnamskiej Van Dong wyraził przekonanie, że w ciągu najbliższych miesięcy Stany Zjednoczone dokonają dalszej eskalacji swych działań wojskowych w Wietnamie. Stwierdził on równocześnie, że będą mieć do czynienia z narodem wietnamskim gotowym wciąż do odparcia agresji.

■ Komunistyczna Partia Japonii przeprowadziła nową czystkę w swoich szeregach, która objęła między innymi członków sympatyzujących z Pekinem.

ze Związkiem Radzieckim jest wyższy niż amerykański.

■ Amerykański naukowiec prof. J. E. Smith o NRD: „W przeciwieństwie do NRF i Berlina zachodniego, które są jak najbardziej kosmopolityczne i zamerykanizowane, NRD jest naprawdę niemiecka w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Przybysz z Zachodu nie spotyka się tu z bałwochwalczym zachwytem nad wyższą stopą życiową na Zachodzie. Zamiast tego widzi dumę i ufność we własne siły z powodu sukcesów NRD. To nowe uczucie zaufa



(Die Welt)

■ Mimo oporu ze strony niektórych członków Kongresu rząd USA zamierza sprzedać Jugosławii roślino olej jadalny wartości 9 milionów dolarów.

■ Zabierając głos na śniadaniu wydanym przez Konfederację Przemysłowców Brytyjskich, premier ZSRR, A. Kosygin, wypowiedział się za rozwojem współpracy naukowej i technologicznej między ZSRR a Europą zachodnią, a zwłaszcza W. Brytanią i Francją. Premier radziecki wyznał i rozwił też, iż potencjał surowcowy i technologiczny całej Europy łącznie

nia jest najbardziej zaskakującym aspektem sprawy, a jednocześnie pokazuje, w jakim stopniu obywatele utofsamniają się w NRD ze swym rządem i z nowym ustrojem społecznym.

■ Prasa amerykańska akcentuje wrogie i aroganckie potraktowanie Roberta Kennedy'ego przez Johnsona w związku z ostatnią podróżą senatora Nowego Jorku do Europy zachodniej. Niechęć prezydenta do skorzystania z mediacji pokojowej Roberta Kennedy'ego — pisze „New York Times”, jest naprawdę pożałowania godnym i zniechęcającym wydarzeniem. Co na prezydenckim prestiżu pychy i prowincjonalizmu może być zbyt wysoka w tych dramatycznych godzinach, kiedy nie jesteśmy pewni, czy w związku z konfliktem wietnamskim widać iskry nadziei, czy przepaść zupełnej ciemności.

■ W Bukareszcie na murze otaczającym ambasadę ChRL umieszczona została gabłota z licznymi zdjęciami przedstawiającymi studentów chińskich rzekomo pobitych w Moskwie w związku z próbą złożenia wieńców na mauzoleum Lenina i na grobie Stalina. Nad zdjęciami umieszczony został napis: „Ofiara krwi wymaga zapłaty”.

■ Podobno do wiadomości, że Amerykańskie Linie lotnicze zakończyły w powodzeniem przeprowadzane w Moskwie rokowania z radzieckim przedsięwzięciem „Aeroflot” w sprawie stałej komunikacji lotniczej między Nowym Jorkiem a Moskwą. Lot z Nowego Jorku do Moskwy ma trwać 9 godzin, a z powrotem 10 godzin.

■ „New York Times” zamieścił artykuł H. Baldwina o stratach lotnictwa amerykańskiego w Wietnamie, w którym stwierdza się, że w ciągu pięciu lat USA straciły w południowo-wschodniej Azji ponad 1.120 samolotów i około 630 helikopterów.

■ Zdaniem obserwatorów politycznych prowadzona obecnie w Chinach niezwykle gwałtowna kampania antyradycka ma na celu odwrócenie uwagi narodu chińskiego od poważnych trudności wewnętrznych, jakie obecnie przeżywa Chiny.

■ Według opinii Roberta Kennedy'ego polityka USA wobec Chin nie powinna opierać się na założeniu, iż wojna między USA i Chinami jest nieunikniona. Nie może my określić mianem polityki dawniejszych prób USA odizolowania Chin od świata i traktowania ich stale wrogo. Polityka realna polegałaby na tym, aby raczej kształtować okoliczności, aniżeli ex post reagować na nie.

■ Premier Wilson przekazał premierowi Kosyginowi podarunek. Jest to telefon kieszonkowy, najnowszy model. Taki sam telefonik ma premier brytyjski i korzysta z niego by porozumiewać się ze swymi ministrami w czasie pobytu na wakacjach. Telefonik ma zasięg jedynie ok. 10 km, ale może być włączony do sieci radiowej lub telefonicznej i wówczas zasięg jego jest nieograniczony. Składa się on z aparatu odbiorczego i małej stacji nadawczej.

■ Członek prezydium KC ZKJ Crvenkowski wypowiadając się na temat miejsca i roli ZKJ zwrócił uwagę na istnienie dwóch krancowych koncepcji, jego zdaniem bardzo niebezpiecznych. Pierwsza — to koncepcja polityki żelaznej ręki; jest ona rezultatem nawyków i tradycji. Drugie niebezpieczeństwo kryje się w pojedynczych przejawach chęci przekształcenia ZKJ w „klub dyskusyjny”. Tego rodzaju pojmowanie sprawy może doprowadzić do dezorientacji, a nawet umocnienia sił antagonizujących.

■ Wiceminister obrony USA Cyrus Vance oświadczył, że Stany Zjednoczone i Związek Radziecki nawiązały już kontakt w sprawie zapobieżenia nowemu wyścigowi zbrojeń przez stworzenie w obu krajach bardzo kosztownych systemów obrony przeciwrakietowej.

■ Minister obrony ChRL Lin Piao oświadczył, że najważniejszym obecnie zagadnieniem Chin jest problem niedopuszczenia do przewrotu politycznego. Lin Piao dodał, że w szeregach partii i jej organów kierowniczych znajdują się elementy burżuazyjne, które opanowały sztab frontu ideologicznego. Elementy te łączą się po to by prowadzić dywersyjną działalność i powodować chaos. W partii jest grupa „zmij i żółwi”, która przygotowuje apancture po to, by nas zniszczyć. Ale my zniszczymy ich.

■ „New York Times” o polityce zagranicznej USA: „Historia podobnie jak że zaproszono koncertowa miewa niekiedy martwe punkty, do których muzyka nie dociera... Brak zdolności u naszych polityków wskazuje, że znaleźliśmy się właśnie w takim punkcie. Niezależnie od tego jak bardzo wykrecamy nasze szyje i nastawiamy uszy nie jesteśmy w stanie uchwycić melodii. Sądze, że przyczyna tego jest dość jasna. Nie jesteśmy w stanie uchwycić głosu epoki, ponieważ tkwimy jeszcze ciągle w okresie lat pięćdziesiątych, a nasze spojrzenia przesłaniają strzepy wytarzonych hasel anty komunizmu.



Johnson — pilot pokoju

POLSKI HYDE PARK

Tytuł podsunął mi Stanisław Morawski, który opublikował list w ostatnim numerze tygodnika „Film”. Pan Morawski pisze, że lekturę naszych czasopism z reguły zaczyna od korespondencji. Listy do redakcji są — jego zdaniem — po prostu szczerze, ludzie piszą to, co naprawdę myślą i dlatego te niewielkie rubryczki, drukowane najdrobniejszym piętrem, pełnią funkcję naszego prasowego Hyde Parku. Można się do woli wygadać.

Czy rzeczywiście? Zajrzałem w chudę na ogół rubryki, i rzeczywiście. W tygodniku „Kultura” p. Janina Malanowska pisze szczerze co myśli o recenzji Jerzego Płażewskiego z filmu pt. „Matnia”. Przede wszystkim zarzuca mu, że nie odróżnia małżonków od kochanków. Płażewski napisał bowiem, że bohaterowie filmu to para dziwnych kochanków, a to nieprawda, jakich kochanków, skoro to małżonkowie. I oto powstaje problem doprawdy niebagatelny. Czy małżonkowie mogą być kochankami? No, bo, że kochankowie nie muszą być małżonkami, to dla każdego jasne. A tamta pierwsza kwestia taka znówu jasna nie jest. Czy po wyjściu z Urzędu Stanu Cywilnego kobieta nie może pozostać kochanką, choć stała się już żoną? Wydaje mi się, że w całym numerze pisma trudno o bardziej kontrowersyjną sprawę.

W „Tygodniku Kulturalnym” drukuje list, bardzo rozbrajające szczerze, Zarząd PZGS w Monkach. Tygodnik zaatakował swojego czasu stosunki w Monkach w interesującym artykule — „Kobiety i wino”, a PZGS szczerze na ten artykuł odpowiada. Przyznaje więc, że praca nie toczy się idealnie i dlatego „nie starajmy się usprawiedliwić PZGS ani też działalności detalicznej na terenie naszego powiatu”. Nie bardzo wiem, co może znaczyć owa — detaliczna działalność, z dalszej jednak części listu zdaje się wynikać, że nawet ta niejasna działalność nie bardzo była możliwa, a to dlatego, że — jak piszą autorzy: „...nie byliśmy wtajemniczeni w cały ten dialog i nikt z kierownictwa PZGS nie brał udziału w rozstrzygnięciu tych spraw”. Jakich spraw? To dość proste — w Monkach sprzedawano wino, chłopy się upijali w gruncie rzeczy nielegalnie, gdyż sprzedaż wina była zabroniona, kobiety gwałtownie protestowały, a PZGS nie był wtajemniczony. Jak państwo widzą, w naszym Hyde Parku panuje szczerze wprost rozbrajające, zwłaszcza, że PZGS przyrzekł zapoznać się z ruchem, na czele którego stoi!

W „Sztandarze Młodych” (nr 35) zabiera głos stary pedagog pan B. K. na temat dwój w szkole. Uwagi pana B. K. podzieliłbym na dwie części: słuszne i stare jak świat, oraz jego własne, nowatorskie i nie bardzo słuszne. Wszyscy nauczyciele protestują przeciw wyznaczaniu limitu ocen

niedostatecznych w szkole, wszyscy wiedzą, że to jest bzdura.

Pan B. K. proponuje od siebie dwa zupełnie słuszne środki zaradcze. Najpierw jednak wyjaśnienia, jaka jest ta nasza młodzież. Oj, owana! Cytuję: „Uczniowie zauważyli, że najważniejsza jest ocena półrocza i roczna, nawet jeśli się ma dwójkę na I i III okres, a trójkę na półrocze i w IV okresie, to na koniec roku dostanie się też trójkę. Dlatego w I i III okresie pracują na „zwolnionych obrotach”. Trzeba więc młodzieży „zasunąć kontre” i podzielić rok na trzy okresy, a wtedy nie będzie czterech i młodzież rada nierada podciągnie się, ponieważ z trzech aż dwa będą najważniejsze. Szczerzy wniosek i prosty, nie wymaga bowiem niczego więcej prócz odpowiedniego zarządzenia i już się poziom podnosi.

Pan B. K. pisze: „Młodzież w ołbrzymiej większości stosuje w pracy minimalizm. Uczeń wkłada tyle pracy, ile jej trzeba na zdobycie oceny — 3 (słownie minus trzy), bo to gwarantuje promocję. Czy to jest nauka, czy taki uczeń posiada potrzebny zasób wiedzy?.. Rodzicom również wyszar eza trójkę, nie czynią nic, aby pobudzić dziecko do większych wysiłków, zdopingować do osiągnięcia wyższej oceny”.

Państwo widzą w jakich warunkach i z kim musi pan B. K. pracować? Rozbrajające szczerze. Kiedy mój ojciec chodził do szkoły mówiło się: Bóg umie na piątkę, car na czwórkę, nauczyciel na trójkę, a uczeń na dwójkę. Pan B. K. zdaje się powtarzać to samo, oczywiście, w nieco zmienionej formie. Jakie drzewo, taki klin, jaki papa — taki syn. A jaki papa? Czytaliśmy wyżej — bez ambicji, mama też bez ambicji, wcale nie chcą widzieć dobrych stopni u dzieci, a już bardzo dobrych — zachowaj Bóże!

Niedawno opublikował nasz GUS dane na temat drogi polskiego ucznia do szkoły. Nie taka to łatwa droga. Prawie 400 tysięcy młodzieży szkół średnich musi dojeżdżać, w internatach brakuje nam co najmniej 100 tysięcy miejsc. 100 tys. młodych ludzi traci do dwóch godzin na drogę do szkoły w jedną stronę, razem więc do czterech godzin. 180 tys. jeździ dzień w dzień koleją, 163 tys. nie zawsze sprawną komunikacją PKS, albo na „lebkę”. Ponad 20 tys. ma co najmniej 6 kilometrów do szkoły i chodzi piechotą, w zimie też. To także bardzo istotny przyczynek do dziejów dwójek w szkole.

Jak więc państwo widzą, w naszym demokratycznym Hyde Parku nie brak głosów szczerych, dobrych albo złych, lecz, niestety — nie zawsze prawdziwych.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

# TESTAMENT

Dalszy ciąg ze str. 1

3.

W czasie okupacji mieszkali na ulicy Ujezdzkiej pod 44. W mieszkaniu od lutego 1942 był lokal partyjny, często nocowali przedstawiciele centrali PPR i partyzanci. W czasie narad, jakie mąż odbywał z przyjezdnymi, wychodziła z pokoju. Miała dziecko i zdawała sobie sprawę, że w razie wyspy jej macierzyńskie uczucia Niemcy mogli by wykorzystać do ujawnienia tajemnic partyjnych. Z tych też względów oficjalnie nigdy nie została wpisana na listę podziemnej PPR.

Ale w rzeczywistości pełniła funkcję łączniczki pomiędzy poszczególnymi dzielnicami partyjnymi. W Tomaszowie były 3 takie dzielnice: na Kaczkę, gdzie sekretarzem był Józef Pomykała, w Starzycach i w Śródmieściu. Tomaszowska PPR liczyła około 30 członków.

Banaszkiewiczowa chodziła na Kaczkę, gdzie organizacja pepeerowska była najsilniejsza i gdzie prócz tego miał swoją siedzibę oddział GL. O istnieniu partyzantów wie działa stąd, że raz przenosiła broń. Zwykle jednak przekazywała raporty. Mąż nie mógłby się pokazać na Kaczkę ze względu na swoją komunistyczną działalność przed wojną, o czym wiedzielioby zbyt wielu ludzi. Łatwo ktoś gorliwy mógłby się domyślić celu jego wizyt w tej tradycyjnie komunistycznej dzielnicy. Cecylia Banaszkiewiczowa była poza podejrzeniami — na Kaczkę mieszkająca jej ciotka. Sasiadami ciotki byli ludzie z pepeerowskiego podziemia. Dzięki tym koligacjom łączność mogła funkcjonować bez zarzutu.

W domu też miała pełne ręce roboty, przy dziecku i przy przyjezdnym. Na Ujezdzkiej często teraz nocowali różni ludzie, niektórych widziała po raz pierwszy. Ale jeśli znali hasło, trzeba ich było nakarmić, ukryć przed sasiadami, zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

Mąż nie we wszystko wtajemniczał panią Celinę, ale sporo się domyślała łowiąc strzępy rozmów mężczyźni, którzy w pokoju gościnnym naradzali się wieczorami, mówili o akcjach sabotażu, o wykolejonych pociągach. Wtedy też usłyszała po raz pierwszy o „Małym Franku”.

4.

W maju 1942 r. w lasy piotrkowsko-częstochowskie wyruszył oddział partyzancki GL im. Stefana Czarnieckiego. W okolicy tej pomiędzy Pilicą a Drzewiczką nie ma wielkich masywów leśnych, toteż oddział niustannie znajdował się w ruchu krążąc wzdłuż magistrali kolejowej łączącej Śląsk z Łodzią i Częstochową z Kielcami.

Partyzantów nie było wielu, było ich dokładnie czterysta, ale broni mieli jeszcze mniej: karabin z uciętą lufą, sześć pistoletów, tuzin granatów, trzy piły do ścinania słupów i trzy pary kluczy do rozkręcania szyn. Zaczeli od niszczenia linii telekomunikacyjnych, ale już wkrótce przystąpili do poważniejszych akcji. W pierwszych dniach czerwca 1942 r. oddział „Małego Franka” rozkreślił szynę kolejową pod Rozprzą i pod Tomaszowem, dezorganizując transport niemiecki na ważnych szlakach strategicznych. W tydzień później partyzanci podjęli pierwszą próbę zdobycia broni. Ale w nadlesnictwie w Mszachach znaleźli tylko dwie dubeltówki i komplet map terenowych oraz nieco amunicji. Skonfiskowali także 5 tys. złotych.

Następnego dnia oddział ścigany przez Niemców przeszedł chrzest bojowy pod wsią Polichno tracąc trzech zabitych. Mimo przewagi w ludziach i sprzęcie Niemcy także ponieśli dotkliwe straty.

W lipcu partyzanci podpalili niemiecki młyn i tartak i rozbili posterunek policji zdobywając pistolety i karabiny. Pomimo strat poniesionych pod Polichnem i w la-

sach spalskich partyzanci Zubrzyckiego nie tracili animuszu przygotowując się do nowej, najpoważniejszej akcji: wysadzenia mostu kolejowego na Pilicy.

Do akcji tej oddział miał otrzymać posiłki z Warszawy i Tomaszowa, gdzie w myśl planu powinna nastąpić koncentracja oddziału.

5.

W pierwszych dniach sierpnia 1942 r. do Banaszkiewiczów zjechali goście. Byli to partyzanci z piotrkowskiej grupy GL. Nieznajomi chodzili na Kaczkę, gdzie działała tomaszowska grupa GL. Na Kaczkę, w lasku, jeszcze z czasów kampanii wrześniowej przechowywano zakopane w ziemi cztery karabiny. Wydobyciem ukrytej broni pokierować miał Niemir Bieliński.

6 sierpnia 1942 r. miała nastąpić koncentracja całego oddziału liczącego 19 ludzi. Ra no przyjechał do Tomaszowa Bałaziński, który penetrował okoliczne wsie, pozostali ludzie powinni przyjechać pociągiem, który wychodził z Kuluszek o godz. 19.17.

Zgodnie z planem akcji tomaszowska grupa GL oraz Bieliński i Bałaziński wyszli na dworzec, aby spotkać przyjeżdżających partyzantów. Ze stacji w niewielkich grupkach wszyscy mieli się udać na Kaczkę i

po wydobyciu broni pomaszerować w kierunku wsi Stobnica, gdzie mieszkali młynarz-kolaborant, którego należało ukarać.

Pociąg nr 1189 przybywający do Tomaszowa zgodnie z rozkładem jazdy o godz. 19.59 miał już poważne opóźnienie, kiedy na dworzec zajęły dwa auta osobowe z numerami OST — znakami rejestracyjnymi samochodów prywatnych. Wysiedli z nich jacyś cywile, którzy wyszli na peron i zmieszali się z pasażerami, ale samochody mimo to nie odjeżdżały.

Przyjeźdźni nie podobał się Bielińskiemu, ale tomaszowianie, którzy znali agentów miejscowego gestapo uznali, że nie ma powodu do paniki. Toteż kiedy wreszcie na stacji zatrzymał się pociąg, którym przyjechała cała grupa bojowa, wyglądało na to, że koncentracja uda się przeprowadzić zgodnie z planami. Pierwsza grupa partyzantów prowadzona przez miejscowego, z Kaczki, minęła już przelaz, kiedy pozostali usłyszeli warkot samochodu. Z auta wyskoczyli uzbrojeni mężczyźni, którzy krzyknęli czysta polszczyzną, aby się zatrzymać. Partyzanci odpowiedzieli strzałami. Pod osłoną ognia próbowali się wycofać. Udało się to tylko dwóm. Wiele osób oddziału poległo, pozostali byli ranni. W ręce Niemców

6.

wpadł Franciszek Zubrzycki i Niemir Bieliński, którego zresztą miejscowi gestapowcy brali za przywódcę, gdyż natychmiast po aresztowaniu na jego tecze personalnej pojawił się wypisany czerwonym atramentem groźny napis: „Banditenführer”.

Pozostała część oddziału kule, niemieckie dosięgły w drodze na Kaczkę, nieopodal herbariarni Kaczmarków. Jedna z pierwszych kul dosięgła zresztą zdracę, który zadenunował oddział w gestapo. Franciszek Zubrzycki zastrzelony został w czasie próby ucieczki. Niemir Bieliński zbiegł z transportu do Oświęcimia przekazując sztabowi GL raport o rozbiciu oddziału.

Pomimo aresztowań nie zawiesiła działalności tomaszowska organizacja PPR. Wiadomość o niemieckiej zasadce poraziła miejscowych działaczy podziemia, ale nie osłabiła woli walki. Banaszkiewicz powtarzał jak zawsze:

— Już niedługo będzie niemieckie panowanie.

Rozmawiał wtedy wiele z żoną. Malował przed nią obrazy życia po wojnie i Polski, która powinna nastąpić. W mieszkaniu na ulicy Ujezdzkiej, jak dawniej, zatrzymywali się emisariusze partyjni z okręgu i z centrali. Niekiedy Banaszkiewicz sam jeździł do Piotrkowa po instrukcje.

Ktoregoś dnia do mieszkania Banaszkiewiczów zapukał jakiś nieznajomy, który prosił o nocleg. Nie znał hasła, ale tłumaczył, że jest z centrali.

Banaszkiewiczowa miała jakiegoś zle przeczucia, ale mąż ją uspokoił. Dopiero, gdy zostali sami przynają, że i jemu nie bardzo podoba się ta wizyta. Uradzili, że gdzieś wyjadą, przedtem jeszcze Banaszkiewicz chciał pojechać do Piotrkowa. W okręgu nie nie wiedzieli o wysłanniku centrali, po stanowił więc z żoną, że następnego dnia opuszczą Tomaszów.

O godzinie drugiej w nocy pod dom zajęły niemieckie samochody. Na ucieczkę było już za późno. Aresztowaniami kierował dwaj zaciekli gestapowcy Hunger i Boettig, rodowici tomaszowianie. Znali doskonale miasto.

Aresztowania trwały całą dobę. Rankiem gestapowcy ujeli Kazimierza Sobczyk, u którego był skład partyjnej bibuty. O dziewiątej rano Niemcy aresztowali Antoniego Marcjanika. Józef Pomykała, sekretarz dzielnicy PPR na Kaczkę słysząc podjeżdżające samochody wyskoczył przez okno, ale dosięgła go kula. Hunger i Boettig aresztowali więc jego żonę i pojechali pod następny adres, do staruszków Mołojców.

Po miesiącu do rodzin aresztowanych przyszyły urzędowe zawiadomienia, że ich naj bliżsi zmarli na „udar serca” albo na „katar żołądka”.

Ale pomimo wyspy, której rezultatem były masowe aresztowania w nocy z 1 na 2 października 1942 Niemcom nie udało się rozbić całej organizacji PPR w Tomaszowie. Dalej pracowały organizacje w Starzycach i w Śródmieściu.

7.

Pani Celia zamyśla się, coś rozważa.

— Widzi pan — mówi nagle twardo — Janek, mój mąż, umarł śmiercią meczeską, umarł nagle. Nie mieliśmy żadnego majątku, nie chodził po notariuszach, ale testament mi zostawił, myślę, że mi zostawił. Dlatego natychmiast po powrocie z obozu wstąpiłam do partii. Do jego partii i chyba także mojej partii. Janek liczył się z tym, że może w każdej chwili umrzeć, takie były reguły walki. Kochał życie i dlatego właśnie nie żał mu było życia, życia dla sprawy.

Jest już szaro za oknem, pokój wypełnia półmrok i niemal po omacku notuje słowa pani Celinie.

— A wie pan czego by mu było najbardziej żal?

Znowu milczenie.

— Mnie też to najbardziej dokucza. Że on nie może zobaczyć jak my dzisiaj żyjemy.

KONRAD FREJDICH

PS: W raporcie wykorzystano także informacje udzielone przez pana Rudzia, kierownika archiwum państwowego w Tomaszowie, raport Niemira Bielińskiego i szkie R. Nazarewicza „III Brygada Armii Ludowej” im. gen. Bema w woj. łódzkiem”.



KRZYSZTOF POGORZELEC

EKONOMIA i okolice

## KOLOR I ŚWIATŁO

Czy plastik może znaleźć dla siebie miejsce w fabryce? Też pytanie — powiecie. „Dojrzejemy” już na tyle, by dyrektorzy i kadrowcy nie wzdrywali na taką możliwość.

Więc są w fabrykach. Tak, człowiek sztuki — plastik został skazany na obecność w hali wytworczej. Jemu, na spółkę z chemikiem, oddano w pacht „pieczenie” kolorów — nie wszędzie, nie wszędzie — wszak to by było już za piękne — plastycy przygotowują nowe wzory. A potem dopiero zabiera głos technika. różne wymyślne mechanizmy i filmdruki, wszystkie te cuda, które człowiek skonstruował dla spełnienia swoich zachcianek i próżności...

Paradoks: byłem kiedyś tam, gdzie powstają te wszystkie mieniące się kolorami teczki tkaniny. Gdzieś od stropu, jakby za dotknięciem magicznej różdżki zsuwało się w dół nie kończące się pasmo materiału, na razie jeszcze skromnie jednobarwne. By później trafić na drukarskie walce, pochłonięte po drodze iles tam kompozycji farb i pysznące się później kolorem. Wszystko to odbywało się w ciemnych i w gruncie rzeczy ponurych pomieszczeniach będących zaprzeczeniem KOLORU i BARWY.

Fabryka i kolor. Zajmijmy się tym ostatnim. Już dosyć dawno oftalmolodzy i neurologowie stwierdzili, że kolor może mieć zba-

wienny wpływ na człowieka. Najmądrzejsza z mądrych — natura, nie bez powodu tak szczerze operuje kolorem zielonym. Okazało się, że to właśnie on jest najsilniej przyswajany przez ludzkie oko. Podobno zieleni zmniejsza ciśnienie wewnątrz oka, a także — o dziwo — wyostża słuch i poprawia obieg krwi...

Ale po co ten cały wywód o wpływie barw na nasze „ja” ludzkiej samopoczucie? Własnie!

Czy wiecie, że przez zastosowanie odpowiednich barw można zmniejszyć u ludzi uczucie nadmiernego gorąca? Tu już dochodzimy do spraw bardzo poważnych, które zatraja o figurujące w tytule „okolice ekonomii”.

Stary, ale chyba ciągle aktualny i mądry Mumford napisał w swojej książce „Technika a cywilizacja”: „To człowiek dopasowywał się do maszyn. On się jej musiał nauczyć omijać jej ostre „nieładki” kształty... Dopiero później człowiek zaczął uzbierać i przetwarzać maszynę na taki kształt, by służyła mu w miarę bezpiecznie i posłusznie...”.

Wtedy przyszedł reflektor, który wyostrzył wzrok człowieka. Potem wynaleziono urządzenia sterujące, które zapewnią bezwzględna dokładność, nowoczesne systemy organizacji pracy oszczędzające rezultatem ilościowymi, które nie śnią się Fordowi ani Tylorowi.

Zafascynowani techniką, tymi wszystkimi śrubkami i kółkami pozostającymi w nieustannym ruchu, jakże często przechodzimy obojętnie obok tego, co nie tylko może wspomóc człowieka w jego stałym dążeniu do pomnażania materialnego bogactwa, ale również ułatwia nieco owa konieczna, lecz jakże wzeczująca pogoda.

To znaczy — chcielibyśmy powiedzieć, że za mało zwracamy uwagi na prawdę oczywistą na to co oferuje nam natura. Ona sama.

Wiadomo np., że umiejętnie zastosowanie koloru, barw — niejako samoczynnie wpływa na powiększenie wydajności pracy. Dokładnie ustalił to działający w Czechosłowacji Instytut Estetyki Technicznej. Rezultaty osiągnięte w brneńskim „Traktorze” były

zadziwiająco: wzrost wydajności o 25 proc.! Bez jednej korony wydanej na inwestycje! Tylko za sprawą psychologa i pedzła plastyka. No i kolorów miłych człowiekowi. Duża rzecz — jak to się mówi — prawda?

A teraz — ŚWIATŁO.

Podobno — bo to są już wiadomości z drugiej ręki o około 30 proc. wszystkich wypadków przy pracy, które mają miejsce w zakładach amerykańskich ma swoje przyczyny w nieodpowiednim oświetleniu stanowisk robotniczych. Nie wiem, jak to jest w naszym przemyśle, nie mówię tu o gospodarce, bo nie ma odpowiednich zbiorczych danych, lecz bez nadmiernego ryzyka można stwierdzić, że nasze zakłady wytworcze np. włókiennicze, nie grzeszą rozrzutnym oświetleniem. Stwierdzono to przed laty, przeprowadzając badania w niektórych zakładach np. w łódzkiej „Olimpii”. Okazało się wtedy, że spora część braków to właśnie skutek nieodpowiedniego oświetlenia miejsca pracy. Nie mówiąc już o obniżeniu wydajności.

A więc — ŚWIATŁO I KOLOR.

Tutaj możemy się spotkać z zarzutem: przecież nasze zakłady oraz instytucje aż się mienią różnego rodzaju kolorami ułożonymi w „picassowskie” wzory...

Ano właśnie. Tylko, że to nie ma nic wspólnego z naukowym wykorzystaniem barwy i kolorów. Np. o prymat bezwzględny, i to w skali światowej, mogłoby walczyć w takim nierozsądnym szafowaniu farba jeden z zakładów chemicznych mieszczący się w Aniolowie pod Częstochową. Brama na zielono, okna na czarno, a to wszystko upstrzone różowymi i czerwonymi plamami. Cudo.

Brońcie nas wszyscy jasnogorscy aniolowie razem z księdzem Kordeckim przed takim wykorzystaniem koloru i barwy.

Proponujemy więc, by fabryki i zakłady w kraju rzeczwiście sięgnęły po kolor, barwę i światło. Tylko że mądrze, chciałoby się rzec — naukowo. Ale czy trzeba używać aż tak poważnych argumentów?

TADEUSZ GIGIER

## REPORTAŻ BEZ BOHATERA

Już na pierwszym etapie mej podróży, to jest w Łasku, dowiedziałem się, że wybrany przeze mnie bohater reportażu jest nieobecny. I to nie tylko w pracy, czyli w łaskim Pogotowiu Ratunkowym, nie tylko w Dobroniu, czyli miejscu zamieszkania, ale w ogóle w kraju. Wyjechał z żoną na miesięczną wycieczkę do pięciu krajów demokracji ludowej.

Oczywiście — dla dobra reportażu — pojechałbym bez chwili wahania w ślad za nim, ale naszyły mnie wątpliwości, czy jakkolwiek Redakcja pokryje koszty tej wyprawy. Ow sceptycyzm zadecydował o tym, że zostałem w Łasku.

Wiadomo, że wszystko załatwia się najlepiej przez znajomości. Po stanowilem więc zasięgnąć języka o mym nieobecnym bohaterze u dobrych znajomych, to jest w Powiatowej Bibliotece. No bo po pierwsze: Łask nie jest dużym miastem, więc chyba wszyscy tu się znają. A po drugie: w Bibliotece pracują same kobiety, a kobiety — dzięki wrodzonej ciekawości — wiele na ogół o ludziach wiedzają.

Nie zawiadłem się w swych przewidywaniach. Dowiedziałem się od sympatycznej pani kierowniczki i równie sympatycznych jej pracowników, że mój bohater, doktor Wojciech Kabza, jest osobą dobrze znaną w Łasku i w powiecie, i to nie tylko jako lekarz Pogotowia Ratunkowego, który nie poprzestaje na udzielaniu chorym doraźnej pomocy, lecz propaguje wśród nich wiedzę medyczną i oświatę sanitarną. No bo — jak powiedziała pani kierowniczka — nie ma co ukrywać, że po naszych wsiach jest jeszcze wiele zaoferowania.

I tu ciśnie mi się pod pióro anegdota, zasłyszana od kolegi-lekacza, byłego członka Koła Młodych Pisarzy (tęż to rozmaitych, na ogół inatratniejszych profesji wybrali sobie ówczesni młodzi pisarze?). Kolega nazywa się Jakub Szydłowski i przez szereg lat pracował w ośrodku zdrowia w Burzeninie. Otóż pewnego razu przyszła do niego wiejska kobieta, skarżąc się na bole brzucha. Ano, tu jej dokuca, tu ją pobolewa, pan doktor będzie na pewno wiedział, o co chodzi. Kolega zbadał kobietę, nie szczególnego nie znalazł, przepisał więc jej jakieś tabletki i pacjentka wyszła zadowolona. Rzecz miała swój epilog w parę miesięcy później, gdy kobieta zgłosiła się ponownie do lekarza, tym razem z inną dolegliwością. „Czy pomogły pani tamte tabletki?” — zapytał kolega. Pacjentka wahała się przez chwilę, wreszcie wykrusiła:

„Nie, nie pomogły, panie doktorze. Dziecko się regularnie urodziło...”

Wróćmy jednak do bohatera reportażu. Wspomniałem o tym, że doktor Wojciech Kabza znany jest nie tylko jako lekarz Pogotowia. Słynie on jako wielki miłośnik muzyki i pieśni ludowej. Czy traktuje to jako hobby? Na pewno tak, ale w nieco szerszym tego słowa znaczeniu, jeśli weźmie się pod uwagę że jest inicjatorem i współorganizatorem regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Łaskiej, który ma swoją siedzibę w Dobroniu. Jest duszą tego zespołu — tak określiła go pani kierowniczka. „To już takie rodzinne, to zamiłowanie do śpiewu, tańca, muzyki, przechodzi u Kabzów z ojca na syna, a w przypadku doktora — nawet na córkę. Dziewczynka ma nie więcej niż 11-12 lat, ale kiedy w bibliotece w Dobroniu organizuje się jakaś uroczystość, ona pierwsza zgłasza swoją gotowość do śpiewu czy recytacji... Niech pan zajrzy zresztą do Dobronia, tam powiedzą panu na pewno wiele ciekawych rzeczy o doktorze Kabzie...”

Obiecałem, że zajrzę, muszę jednak przedtem odwiedzić kierowniczkę Referatu Kultury Powiatowej Rady Narodowej, panią Józefę Rogusa. No bo jakże, idąc tropem działacza kultury — pominąć taki Referat? Pan Józef Rogus okazał się człowiekiem bardzo gościnnym i był nawet skłonny posadzić mnie na jednym z antycznych foteli, zgromadzonych w charakterze ekspozycji w pokoju, ale w porę polapałem się, że fotel jest rozeschnięty i usiadłem na zwykłym krześle. Jako towarzysza rozmowy mieliśmy jeszcze pana Włodzimierza Sysio, architekta powiatowego, również członka Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Łaskiej. Architekt powiatowy, który tańczy w zespole — to nie zdarza się często. Ale zaraz wyjaśniono mi, że doktor Kabza też jeszcze czasem występuje na scenie, ubrany w oryginalny strój ludowy. Dzieje się tak wtedy, gdy zabraknie kogoś do grania czy śpiewania. Dawniej występował zresztą stałe, śpiewał i zapowiadał, zachęcał do pracy w zespole i sam dawał przykład. Nietrudno odgadnąć, jaką wagę ma dla wsi przykład doktora czy architekta, którzy nie wahają się przywdziać ludowy strój i śpiewać czy tańczyć w takt ludowej kapeli. I to w czasach, gdy polska wieś zafascynowana jest nowoczesnością, big-beatem, twistem i charlestonem, nie dostrzegając tego, że pokaz tych tańców na zabawach wiejskich (sam byłem tego świadkiem) daje często nader komiczne efekty. Więc może warto zachować coś niecoś z dawnych ludowych obrzędów, tańców i zwyczajów, skoro tak pielęgnują je ludzie światli i wykształceni?

Pan Włodzimierz opowiada o tym, jak zaraz po wojnie zbiegli się w domu Kabzów i odbywali tam pierwsze próby muzyczne. Próby te trwały często do późnej nocy i przetrwała je tylko wspólna kolacja. Gospodarze nie żalowali uczestnikowi, były tylko zachęci do wytrwałości. I tu druga anegdota.

Znana jest historia, jaka wydarzyła się w innej dobronńskiej rodzinie, i to jeszcze przed wojną. Otóż pan młody, zamiast urządzić przyjęcie weselne, zrobił skromne przyjęcie, a zaoszczędzone pieniądze przeznaczył na kupno książek do miejscowej biblioteki. Wypadek na wsi bez precedensu. Dobron odnosił się jednak zawsze z pietyzmem do spraw oświaty i kultury, każdy rolnik ma ambicje kształcenia swych dzieci, nie więc dziwnego, że wyrastają z nich nauczyciele, doktorzy, dyrektorzy.



Doktor Kabza wyłożył niejedną złotówkę na kupno welniaka od prywatnej gospodyni. Oczywiście, że Zespół stanął mocno na nogach dopiero wtedy, gdy objął nad nim patronat — moralny i finansowy — Referat Kultury Powiatowej Rady Narodowej w Łasku i Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy, a w szczególności — Spółdzielnia Tkacka „Pasma” w Gucinie. Zakupiono dla orkiestry zagraniczne instrumenty, skompletowano oryginalne stroje ludowe występujące dawniej w Dobroniu i okolicy, stroje zbliżone do sieradzkich, jednakże o znacznej odrębności, bo Dobron jest swego rodzaju folklorystyczną wyspą. Wyszukano i zatrudniono od powiadnych instruktorów, panią Irene Kik z głośnego Zespołu im. Harmana w Łodzi i pana Janusza Kaźmierczaka, kierownika muzycznego „Wesołego Autobusu”. Nic więc dziwnego, że Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Łaskiej zasłynął wkrótce w powiecie, a potem w wojewód-



zwie i w całym kraju. W roku 1960 został już zaproszony do udziału w wielkim widowisku plenerowym w Wolborzu z okazji rozpoczęcia uroczystości milenijnych. W roku 1963 zajął II miejsce w Ogólnopolskich Eliminacjach Zespołów Spółdzielczości Pracy. Potem przyszły kontakty zagraniczne, zaproszenie na Festiwal Ludowych Zespołów

do Południowej Słowacji, gdzie występował prawie w każdej wiosce. Ale najchętniej wspominają początek swej artystycznej kariery, owe powojenne wieczory w domu rodzinnym doktora Kabzy.

Po tym, co usłyszałem, nikogo chyba nie zdziwi, że zapragnąłem odwiedzić ten dom w Dobroniu. Miało się już ku wieczorowi, sędziłem więc, że zastanę nestora-rodów, pana Lucjana, ojca mego nieobecnego bohatera. Niestety, nie tylko bohater okazał się nieobecny. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że pan Lucjan, który przekroczył już osiemdziesiątkę, jest człowiekiem, który nie może usiedzieć w domu i zawsze wynajdzie sobie jakąś robotę. Skojarzyłem ten fakt z przeczytanym niedawno artykułem pewnego lekarza, specjalisty w dziedzinie geriatrii, który jako środki zapobiegające starości bardzo zalecał muzykę, śpiew i tańce. Pan Lucjan odkrył intuicyjnie tę prawdę znacznie wcześniej, i chyba dlatego zachował pełną sprawność fizyczną.

Do pokoju wprowadziła mnie siostra doktora Kabzy, szczupła, ruchlawa, młoda jeszcze kobieta. Cel mojej wizyty — zdobycie bliższych wiadomości o bracie — wyraźnie ją zażenował, dopiero gdy zapytałem, czy sama również występowała w dobronskim zespole — skwapliwie



podjęła ten temat i nie wiadomo kiedy zaczęła mówić o interesujących mnie sprawach. — „Bratochał muzykę od dziecka, przeniósł to od ojca, kiedyś zresztą cała nasza rodzina to była orkiestra. Wojtek od 7-go roku życia uczył się gry na skrzypcach, marzył jednak o trabce, o tym, żeby grać w orkiestrze dętej, wie pan, taka orkiestra przygrywała na każdej uroczystości, to bardzo działało na chłopa. Wojna przerwała te marzenia, dopiero później nauczył się grać na saksofonie, był wtedy studentem i z kolegami grywał na wiejskich zabawach, żeby zarobić trochę pieniędzy i dopomóc sobie w studiach. Zresztą pomagał nie tylko sobie, ale i mniej zaradnym kolegom. Kiedy skończył studia i został lekarzem, bardzo bolał nad tym, że rozpada się nasza dobronńska orkiestra, którą założył dziadek. Brat jest obrotowy, więc zebrał chętnych do nowej orkiestry i zakreślił się wokół poparcia dla swego pomysłu. Dogadał się ze Spółdzielnią Tkacką, a gdy znalazły się pieniądze na instrumenty, sam przyrzekał chłopaków do gry, bo słuchowca to on jest dobry. Ale to mu nie wystarczyło, kiedyś zobaczył Łowicki Zespół Pieśni i Tańca, i odtąd już tylko myślał o tym, żeby podobny stworzyć w Dobro-

niu. Znalazł poparcie w Łasku, udało mu się zdobyć pieniądze na dyrygenta, i tak powstał chór, a potem balet. Wtedy zaczął myśleć o programie, jeździł po wsiach, odwiedzał różnych dziadków i babki, dopytywał się o dawne piosenki, notował słowa i melodie. Pamiętam dobrze pierwsze widowisko, brałem w nim udział, nazywało się „Siemienie”. To taki nasz zwyczaj ostatnich wieków, zabawa z tańcami i przyspiewkami. Potem zespół wystawił „Sulitę weselną”, a teraz opracował widowisko „Na sieradzkiej nutce”. No, brat ma dużo pracy w Łasku, w Stacji Pogotowia, której jest kierownikiem, ale on bez Zespołu nie mogłby wytrzymać, chodzi na próby, jeździ na każdy występ, organizuje letnie obozy szkoleniowe, latem w Mielnie, zimą w Szklarskiej Porębie. Zna to nawet trochę wyrzeka, że tak mało bywa w domu. Ale wie pan, jest mocno związany z tymi ludźmi, a oni teraz też nie mogą już żyć bez Zespołu. Gdy któryś starszy odchodzi, to tak się przyjęło, że przeprowadza na swoje miejsce młodego. Byłe tylko Zespołu nie ucierpiał. Był taki jeden starszawy bębniści, zachorował i długo nie mógł znaleźć następcy. Bardzo to go gnębiło, wreszcie znalazł i przyuczył jednego chłopaka. Chłopak okazał się pojętny, więc ten bębniści powiedział, że teraz już może spokojnie umrzeć. I rzeczywiście niedługo potem umarł...”

Wyjechałem z Dobronia, nie poznawszy swojego bohatera. Czy jednak istotnie może tak powiedzieć? Po tym, co dowiedziałem się o nim, znam go już całkiem nie najgorzej, ba, mogę go odróżnić od wielu lekarzy, żyjących nieco innymi, bardziej prywatnymi idealami. Ten człowiek to lekarz nie tylko ludzkich ciał, on dobrze wie o tym, że potrzebne jest i coś dla ducha. Tehnął ducha w cały zespół, bagatel! — Zespół liczy dziś ponad 70 osób. Więc chociaż obecny tylko duchem, stał się bardzo konkretnym, rzeczywistym bohaterem reportażu.

### Satyra Jana Huszczy w lubelskim teatrze studenckim

Laureat wielu ogólnopolskich nagród, studentki teatr „Dren 59”, Akademii Medycznej w Lublinie, pokusił się o adaptację sceniczną „Prawa Parkinsona”. Oprócz tekstu Parkinsona, wykorzystano w programie również fragmenty utworów satyrycznych Jana Huszczy. Mimo nam stwierdził ten fakt i zwrócić, przy sposobności, uwagę naszych Czytelników, że Jan Huszczy, poeta, prozaik i satyryk, jest stałym współpracownikiem „Odgłosów”.



Fot. Steff

WACŁAW BILIŃSKI

## Autoportret za 1 dolara 65 centów

Od 99 lat, rokrocznie na rynku amerykańskim ukazuje się w styczniu bardzo szczególne wydawnictwo. Jest to — cytuję tytuł — „Książka faktów, czyli Światowy Almanach Roku. Niezbędna dla każdego biura, skarb dla każdego domu”. Wydawany przez World Journal Tribune. Stron 912 druku maczkim. (Oto — jeśli idzie o szybkość, sprawność i niezawodność edytorską — wzór dla naszych wydawnictw). A między obu miękkimi okładkami — mój Boże! — czegoż tam nie znajdziemy. Zajrzyjmy więc do tej swoistej i istotnie ciekawej encyklopedii, do otwierającego ją indeksu: oto, na wrywki, parę tytułów: Tragiczne wypadki, Wojna w Wietnamie, Rolnictwo w świecie i w USA, Albania, Ambasadorzy, Armia USA, Nagrody światowe i amerykańskie, Adresy biskupów, Kardynałowie, adresy i daty urodzenia, Najdłuższe mosty, Chiny: historia i dane ekonomiczne, Kościoły światowe, Komunistyczne partie, Konkursy na miss piękności, Najśłynniejsze (!?) zbrodnie, Dalas; opis miasta, Stynne wycięgi konne, Lyndon B. Johnson: biografia,

stan majątkowy, zdrowie, powiedzonka, Medyczne najśłynniejsze odkrycia, Rozgrywki tenisowe, tabele mistrzostw, Pakt Warszawski, Kobieta współczesna, Wojny światowe, itp., itp.

Już ten pobieżny i wrywkowy zestaw haseł zorientował nas, że leżąc przed nami opasłe tomisko jest swego rodzaju encyklopedią, ale encyklopedią naprawdę arcyamerykańską, przeznaczoną dla przeciętnego Amerykanina i na jego umysłowość obliczoną. Tego ostatniego sformułowania proszę nie rozumieć w sensie pejoratywnym. Po prostu — co kraj, to obyczaj, co kraj — to inny rodzaj zainteresowań politycznych i społecznych.

Lecz przecież właśnie znając te zainteresowania — możemy sobie wyrobić wyobrażenie o danym społeczeństwie. Powiedz mi czym się interesujesz — a ja ci powiem kim jesteś. Spójrzmy pod tym kątem widzenia na omawiany przez nas Almanach.

Ta droga analizy doprowadzi nas do skonstatowania powszechnie znanych truizmów: Amerykanin jest wiecznie głodny informacji. Amerykanin, to co się dzieje poza terytorium jego kraju, traktuje jako zjawiska wótrne i mniej ważne. Amerykanin jest nawykły do konsumowania informacji poważnych w miarę z niewiarogodnymi bzdurami. Przerzucamy jednak kartki Almanachu:

Więc Ojcem roku 1966 wybrany został pan J. K. Javits (3 dzieci), Matką roku — pani B. M. Holt (6 dzieci). I zaraz obok — lista strat wojennych USA na polach bitew: (I wojna światowa — 53.513, II wojna światowa — 292.131, Wojna koreańska — 33.629). Iu salwami armatnimi wita się dostojnych gości? Prezydenta i premiera — 19, generałów i admirałów — tylko 17! A Iu za-

rejestrowano narkomanów w USA? Tylko 57.199. Reszta uniknęła politycznej rejestracji. Natomiast przestępstw zarejestrowano w r. 1965 — 2.780.000, a na rok 1966 przewiduje się ich ilościowy wzrost o 5 proc.

Jedźmy dalej! W roku 1965 — 32.700 ludzi zginęło w USA w wypadkach samochodowych (więcej jednak prawie o tysiąc ludzi mniej niż w wojnie koreańskiej). W katastrofach samolotowych — 1279 osób. Jeśli urodziłeś się w styczniu — twoim kamieniem jest ametyst. W stanie Alabama jako powód do rozwodu sąd uznaje: zdradę, okrucieństwo, obojętność, alkoholizm, impotencję, narkotyzm i zboczenia seksualne.

Teraz sport, sport, sport! Kto był boksem mistrzem wagi ciężkiej — poczynając od roku 1889? Jakże były wyniki rozgrywek w Lidze Balmorskiej? A rozgrywki w baseballa? Dziesiątki, setki stron, tysiące nazwisk. Grubym drukiem: wyraźniej, sprawy to ważniejsze dla wydawców (a więc i dla czytelników) niż np. tabela nagrodzonych najwyższym odznaczeniem bojowym — Medal of Honor — w wojnie wietnamskiej. Tu znuca nam się w oczy jedno tylko (na szczęście) nazwisko polskie: Edward Krzyżowski. Zresztą posmiertnie. Tak jak 95 proc. odznaczonych w tej brudnej wojnie.

Dalej obszernie: program podboju kosmosu, rozwój badań technicznych, sprawy wyznaniowe: Czy wiecie ile wznają jest w USA, ile „Kościół”, „Zrzeszenie”, „Gmin”. Sama tylko tabela adresów siedzib tych władz wyznaniowych (Headquarters of Religious Bodies) to 4 strony pisane „maczkim”.

A sprawy fiskalne i majątkowe: to dopiero problemy! Więc stopa podatkowa, wykaz zarobków, przeciętny dochód (para nylonów — przeciętnie 21 minut pracy, bilet autobusowy — 6 minut, opłata za

Jerzy Wilmański

Raport w sprawie hotelu

Wypracowaliśmy sobie w Łodzi dość osobliwą specjalizację: inwestycje — rzeki, budowy milenijne. Nie od rzeczy przypomnieć ten fakt na wstępie naszej hotelowej dysertacji.

RAPORTU CZĘŚĆ HISTORYCZNA

Sięgnijmy więc do historii łódzkiego hotelu miejskiego, zlokalizowanego przed laty w kwadracie ulic Kilińskiego — Traugutta — Sienkiewicza — Narutowicza.

Równo jak obszył siedem lat temu — w lutym 1962 r. dostrzeżono potrzebę budowy i opracowano założenia. Potem ogłoszono konkurs, w którym wzięło udział 47 zespołów z całego kraju. Rozstrzygnięcie — w styczniu 1964 r. — przyniosło wielki sukces łódzkim architektom.

Pamiętam, pisałem o tym wówczas w „Odgłosach”, przymawiając się niedwuznacznie o zaproszenie na otwarcie. Trzy pierwsze miejsca zajęły zespoły łódzkiego „Miasopjektu”.

Pierwsza nagroda — mgr inż. arch. Bronisław Marszał i Jan Michalewicz.

Druga nagroda — mgr inż. arch. Leszek Łukoś, Ludwik Maciekiewicz i Jerzy Jakubczak.

Trzecia nagroda — mgr inż. arch. arch. Bolesław Kardaszewski i Tadeusz Sumień.

Zlecenie na projekt realizacyjny otrzymał oczywiście „Miasopjekt” — dwa pierwsze zespoły połączyły się i nad rysownikami zasiadli inżynierowie Marszał, Michalewicz i Łukoś. Pracowali, choć życie płatało im paskudne figle. Zlecenie to rzecz święta — trzeba je wykonać, a tu co jakiś czas przychodziły z Warszawy bardziej lub mniej oficjalne sygnały — hotel nie będzie budowany — skreślano go z planu, albo — hotel jest za wysoki. Ministerstwo nie godzi się na 13 kondygnacji...

Ale projekt został zlecony — maszyna worawiona w ruch i na planach coraz wyraźniej rysowała się sylwetka przyszłego wieżowca, choć nikt nie mógł dać nawet trzech groszy za to czy nie zostanie on tylko na planszach i kalkach.

Wreszcie wiarygodną wiadomość. Hotel miejski w Łodzi został zakwalifikowany jako tzw. inwestycja wycieczkująca. Mówiąc o prostu sprawie budowy zawieszono w próżni — może się zbuduje, może nie. Projekt wstępny jest już od jakiegoś czasu gotowy. Wisiał tak sobie w próżni, czyli wyczekiwał równe trzy lata. Obecnie słuchych chędzą, że go z próżni zdjąć i znów rozoczezyli się rozważań. Wtajemniczeni twierdzą, że jeśli

nie wejdzie ta budowa do planu na rok przyszły — szansa powtórzy się dopiero po roku 1970. Byłaby to niepowetowana strata, bo...

RAPORTU CZĘŚĆ EKONOMICZNA

Czytelnik wybaczy mi garść cyferek, ale są one w tej części konieczne. Łódź zatem jako miasto liczące sporo ponad 700 tys. mieszkańców, ośrodek przemysłowy, siedząca wielu central itp. — posiada 850 łóżek hotelowych. Kraków ma ponad 1.000 (ok. 500 tys. mieszkańców), Wrocław ponad 1.000 (430 tys. mieszkańców), Poznań ok. 1.300 (408 tys. mieszkańców).

Efektów tego niedoboru miejsc hotelowych w Łodzi możemy zaobserwować każdego dnia w raporcie „Grandu”, „Polonii” czy „Savoyu”. Szereg przyjezdnych nie

wrzeszczą. Fakt, że od pięciu lat myśli się o tej inwestycji — na pewno cieszy. Fakt, że od pięciu lat projekty nie wyszły z biur na plac budowy — na pewno irytuje.

RAPORTU CZĘŚĆ SMUTNA

Weselmy się — mamy w Poznaniu nowoczesny hotel „Merkury”, w Krakowie nowoczesna „Cracovia”, a w Kielcach nowoczesny „Centralny”. Weselmy się i zawiść — precz. To dobrze, że w trzech pięknych, polskich miastach doczekaliśmy się prawdziwie europejskich, na wyrostki polysk, hoteli. I nie zawiść jest przyczyną naszego smutku.

Bo oto skąd się wzięła ta nowoczesność, wystrój, piękno i funkcjonalność hoteli w Poznaniu i Krakowie. Projektanci zjeżdżali wzdłuż i w szerz Austrii i Włochy — kraje

Nie trudno teraz rozumieć, dlaczego ta część raportu nazywa się smutna, choć przecież i cały raport wesoly nie jest. Pięć lat czekania, doświadczenia z drugiej ręki — z czego się tu cieszyć?

A więc nie ma rady. Cieszymy się na razie wizja hotelu zamknięta w grube tecki dokumentacji. I to będzie chyba część rzeczywiście najpogodniejsza.

RAPORTU CZĘŚĆ POGODNA

A więc już mamy lokalizację. W kwadracie ulic Kilińskiego — Traugutta — Sienkiewicza — Narutowicza — nieco bliżej Kilińskiego, smukła sylwetka 13-kondygnacyjnej „złotej” wieżowca będzie spod przyszłej wiaty wyjściowej Dworca Fabrycznego.

Zaniedbano właściwie tylko sprawę nazwy, choć u nas często najpierw daje się etykiety a później myśli o robocie. Ponieważ jednak łódzki hotel miejski przewidziano w kategorii „De Luxe” (podobnie jak „Merkury” i „Cracovia”), będziemy go roboczo nazywać właśnie tym mianem.

A zatem zjeżdżamy „Mercedesem” czy zgoła „Svrenka” pod łódzki Lux. Od głównego wejścia wybiega do nas boy, daliśmy mu kluczyki, boy zjeżdża naszym wozem do podziemnego garażu (na 30 samochodów). Jeśli nie dowierzamy umiejętnościom boysa, zjeżdżamy sami a potem schodami wchodzimy do głównego hallu o powierzchni 380 m kw.

A tutaj Europa! Kioski CPLIA, „Ruchu”, kantory wymiany walut, wejście do salonu fryzjerskiego — dalej ogródek z wodotryskiem — przez szklana ścianę kuszka nas wnetrza restauracji (200 miejsc) i kawiarni (100 miejsc) — gdzie wirują tance kregi. Przy stolikach siedzą zagraniczni kucy i nasze znajome panie z „Grandki”... stop. Taśma wizji nie powinna się rozwijać w tym kierunku.

Więc rzeczowo. Od pieca czyli od podziemi. W podziemnej kondygnacji znajdzie się nie tylko garaż, ale zespół różnego rodzaju warsztatów — stolarskich, tapicerskich, samochodowych — słowem zaplecze potrzebne dla sprawnego funkcjonowania Luxu. W parterze

wym budynku z restauracją, kawiarnią, hallem, ogródkiem itp. — powierzchnia jedna trzecia hektara — będą usługi towarzyszące. Z tej parterowej budowli wyróżni „złota” hotelowa — płaski 13-kondygnacyjny wieżowiec, mieszczący 191 pokoi jednoosobowych, 92 pokoje dwuosobowe, 4 apartamenty jednoosobowe i 5 apartamentów dwuosobowych. W apartamentach oczywiście dywany, telewizory itp. szykany. Kategoria Lux przewiduje, że meble we wszystkich pomieszczeniach musza być indywidualne, projektowane specjalnie dla hotelu. Lux wszelkiej standaryzacji ograniczenie nie znosi. Na każdym piętrze obszerne halle z telewizorami, klubowymi fotelami, prasa itp. Będzie też sala konferencyjna (jako że łódzki hotel bez konferencji), połączona z salą wypoczynkową.

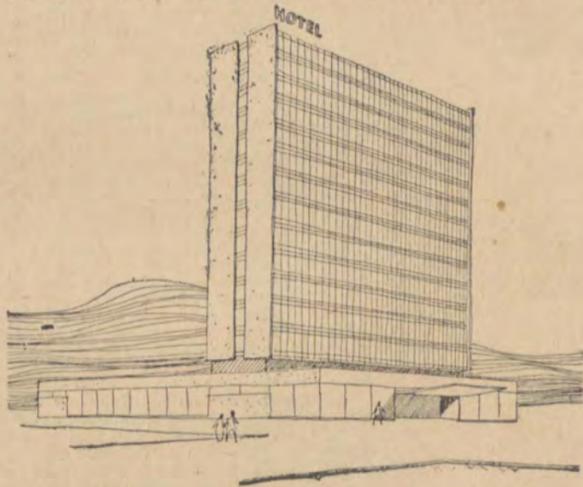
Kiedy w lokalach na parterze wirować będą tance kregi a orkiestra rozpocznie głośny big-beat — nie zakłóci to spokoju gości hotelowych. Między parterem a resztą pomieszczeń mieszkalnych znajduje się tzw. piętro techniczne, gdzie zbiegna się wszystkie instalacje oraz ich tzw. rozrząd. Takiego rozwiązania nie stosowano dotąd w Polsce — a szkoda, bo piętro techniczne jest znakomitym izololatorem i pochłaniaczem dźwięku.

RAPORTU CZĘŚĆ OSTATNIA

Wróćmy na ziemię. Pesymiści mówią, że boy hotelowy, który odbierze kluczyki od naszej „Svrenki”, jeszcze w przedszkolu na drewnianym koniku hasa. I że w ogóle wtedy „Svrenek” już nie będzie.

Nie wierze pesywiście. Nie wierze im, bowiem wierze w zdrowy rozsadek i gradację potrzeb. W tej gradacji mieści się hotel z prawdziwego zdarzenia z boyem i wodotryskiem, choć przyzwyczajeni jesteśmy do obryskliwej odmowy recepcjonistki i braku wody w kranach. A może również właśnie dlatego trzeba wreszcie zdobyć się na inwestycje, które potrzebę od lat widzą wszyscy.

Dlatego wierzę optymistom, twierdzącym, że łódzki Lux wejdzie jednak do planu po latach wyczekiwania.



może znaleźć w naszym mieście noclegu — większość z nich to pracownicy przedsiębiorstw i instytucji państwowych. Oczywiście zwykli, normalni, prywatni turyści są już absolutnie dyskryminowani, nie mogą poprzec swych praw do pokoju żadną delegacją służbową.

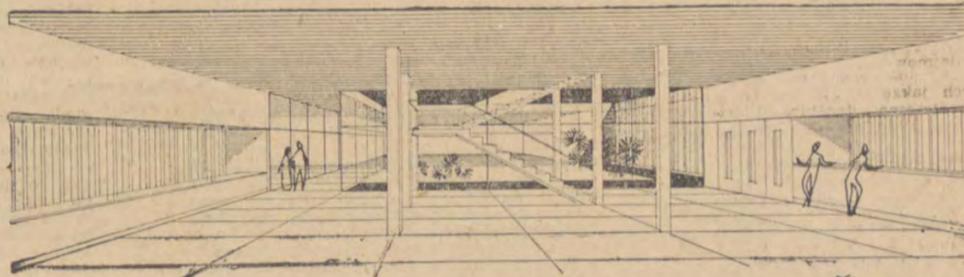
Jak wynika z obliczeń Dyrekcji Hoteli Miejskich w Łodzi, przeciętna dzienna ilość zgłoszeń nie przyjętych wynosi... ok. 280. Prawie trzysta osób dziennie odchodzi z kwitkiem. Dodajmy, że dane nie dotyczą miesięcy letnich, kiedy ilość odmów jest daleko większa.

Podsumujmy więc, Łódź — duże środowisko przemysłowe z wieloma centralami handlowymi, do których przybywała przedstawieli firm zagranicznych i przemysłu krajowego. Łódź — duży ośrodek wyższych uczelni, posiadający Uniwersytet, Politechnikę, Akademię Medyczną, Wzrasta Szkoła Plastyczna — organizująca liczne zjazdy naukowe i narady. Łódź — krajowy Kopciuszek hotelowy, choć jak wiadomo Polska w ogóle przecież potentatem hotelowym nie jest.

Gromki komentarz nie jest chyba w tym miejscu potrzebny. Budowa hotelu w Łodzi jest przedewszystkiem niezbędnym, stanowiącym o randze miasta. Randze handlowej, przemysłowej, turystycznej

o starej hotelowej tradycji, projektanci byli w Anglii — przywieźli plany i rozwiązania, bal nawet rysunki detali, aluminiowych uchwyty drzwiowych, mebli, futryny...

— A wy, gdzie byliście? — pytają łódzkie projektantów. — My? Trochę głucho mówić. Byliśmy w... Poznaniu i Krakowie. Chcieliśmy iechać do Moskwy — nawet na swój koszt, ale się nie udało i trzeba było brać wszystko z drugiej ręki — z „Merkurego” i „Cracovii”...



Rys. B. Marszał

wizytę lekarską — 3 godziny 20 minut, dzień w szpitalu — 10 godzin i 14 minut). I jeszcze setki adresów banków. Potem wykaz najgroźniejszych zbrodni. I tabelka, z której dowiadujemy się, że w każdym niemal stanie wykroki śmierci są wykonywane w inny sposób, np. Alabama — krzesło elektryczne, Arizona — kamera gazowa, Delaware — przez powieszenie.

Opuszcmy teraz setki stron informacji typu leksykonowego: daty, nazwiska, geografia, historia nauki. Opuszcmy setki stron opisów przeszłych kampanii wyborczych i struktur administracyjnej poszczególńnych stanów. Skupmy natomiast uwagę na kronice roku 1966 — a ściślej na kronice spraw wewnętrznych USA. Bo szukamy przecież odpowiedzi na pytanie — jakie jest — widziane na kartach tego Almanachu — oblicze społeczeństwa naszki cowane w tak osobliwy autoportret. A więc cytujemy tę kronikę — oczywiście w skrótach:

STYCZEŃ 1966

- Straty amerykańskie w Wietnamie za rok 1965 — 1.350 zabitych, 5.300 rannych, 148 w niewoli.
Bobby Baker — protegowany Johnsona — skazany w głośnym procesie korupcyjnym.
New York sparaliżowany 12-dniowym strajkiem transportowców.
Odnaleziono zagubioną (!) na wybrzeżu Hiszpanii bombę atomową.

LUTY

- 7 członków Ku-Klux-Klanu odmówiło zeznań przed senacką komisją śledczą.
Zginęło w katastrofie samolotu...

tu treningowe 2 astronautów — Elliot See i Charles Bassett.
Federalna Komisja Praw Człowieka opublikowała raporty żalające się na polownie tempo integracji szkolnictwa na Południu.

MAPZEC

- Prezydent Johnson zaproponował wobec wzrostu przestępczości szeroki program szkolenia policjantów.
Skazano morderców ekstremistycznego działacza murzyńskiego Malcolm X. Skazani to Murzyni. Wyrok: dożywocie.
W Watts — murzyńskiej dzielnicy Los Angeles wybuchły 6-dniowe krwawe zamieszki. 13 proc. mężczyzn w tej dzielnicy jest stale bezrobotnych.

KWIECIEŃ

- W Nowym Jorku szeroko zakrojone demonstracje przeciw wojnie w Wietnamie.



- W pięciu stanach Południa zarejestrowano już — mimo terroru — 1.003.000 murzyńskich wyborców.

MAJ

- Znow protesty antywojenne w Waszyngtonie. W jednej tylko

akcji wzięło udział 63.000 osób.
Zona osławionego rasisty stanu Alabama — gubernatora Wallace wygrała wybory w większości 52 proc. głosów.

Prezydent Johnson ostrzegł, iż pojawiły się niepokojące sygnały ekonomiczne wymagające zarządzeń antyinflacyjnych.

CZERWIEC

- W Uniwersytecie Amherst, Mass., 20 osób z tzw. grupy seniorów opuściło demonstracyjne zebranie, gdy wrocławno dyplom honorowy sekretarza Stanu, Robertowi McNamara.
A. Weber — pacyfista ze środowiska intelektualnego został skazany przez sąd wojenny za odmowę udziału w wojnie wietnamskiej.
James Meredith, Murzyn uczestniczący w marszu demonstracyjnym został postrzelony przez białego rasistę.
Najazutrz inny przywódca Murzynów, Carmichael rzucił ekstremistyczne hasło — Black Power! (Czarna władza).
Jack Ruby został uznany za w pełni poczytalnego.

LIPIEC

- Masowe morderstwo w Chicago: zginęło 8 pielęgniarek.
Prezydent Johnson potępił rozruchy murzyńskie, które wg jego słów — „wyzwalały reakcje łańcuchowe o nie dających się przewidzieć następstwach”.
7 miast zostało objętych ma-

sowymi rozruchami rasistowskimi.
Wśród ludności murzyńskiej toczy się zażarta walka ideowa, wywołana hasłem „Black Power”.

SIERPIEŃ

- Charles Whitman w wieży uniwersytetu w Texas zastrzelił 44 i zranił 14 osób.
Z niezwykłą pompą odbyły się zaślubiny córki Johnsona Luci.
A jednocześnie przed Białym Domem odbywały się masowe demonstracje antywojenne.
Ilość zarejestrowanych wyborców murzyńskich w stanach Południa osiągnęła 46 proc.



- Laureat Nobla dr King został w czasie marszu demonstracyjnego ciężko ugodzony w głowę kamieniem.

WRZESIEŃ

- Fala rasistowskich rozruchów — W Cicero (przedmieście Chicago), interweniuje 2500 żołnierzy i policjantów.
— W Atlanta w czasie rozruchów

zginął 16-letni chłopak murzyński.
— W Grenadzie 200 białych bestialsko pobilo dzieci murzyńskie w miejscowej szkole.

PAŹDZIERNIK

- Już 331.000 żołnierzy wysłano do Wietnamu.
Masowe morderstwo w miasteczku Mesa w Arizonie. Z ręki 18-letniego chłopca zginęły 4 kobiety i dziecko.
FBI orzeka kategorycznie, że Oswald działał samotnie i na własną rękę.
S. H. Sheppard niegdyś skazany za morderstwo żony został po 9 latach uznany za niewinnego.

Na tym kończy się — w tym tomie omawianym — kronika roku 1966. Czytamy ją — tak jak i inne karty Almanachu — z uczuciami mieszanymi. Oto autoportret Wielkiego Narodu, najbogatszego w świecie i decydującego w wielu sprawach o dalszych losach ludzkości. Czy można patrzeć na ten autoportret bez niepokojów?



# Pisarstwo a działalność społeczna

Redakcja „Odgłosów” przeprowadziła rozmowę ze Zbigniewem Nienackim, znanym pisarzem i radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi.

Zbigniew Nienacki jest autorem powieści „Uroczysko”, „Skarb Atanaryka”, „Pozwolenie na przywóz lwa”, „Wyspa złocynów”, „Pan Samochozik i templariusze”, „Worek judaszów”, „Maszeczka i tajemnica”, „Podniesienie”, „Z głębokości”, „Sumienie”. Pi-sze także scenariusze filmowe oraz sztuki teatralne, z których bardziej znane są: „Styks”, „Termitiera” i „Golem”.

można pokazać biurko i pokój, w którym pracował bohater „Sumienia”. Po prostu lepiej z materiału, który mnie otacza, a tego uczyli mnie wielcy pisarze. Istnieje w województwie łódzkim konkretna wieś, gdzie dzieje się akcja mojego „Podniesienia” i chodzą po niej jeszcze bohaterowie mej powieści. A przecież ta powieść nosi w sobie z całą pewnością wpływ Kafki. Wydaje mi się, że w tej konkretności tkwi sekret, dlatego niektórzy z mych książek znalazły czytelników także i za granicą, bo przecież wielu mych kolegów pisze lepiej ode mnie. Dlatego nie zamierzam odrywać się od tego, co daje mi moje książki. Czy pan uwierzy, że nie ma w województwie łódzkim gromady, w której nie byłbym, kiedyś — jako dziennikarz, czy teraz — jako pisarz? I miałbym zrezygnować nagle z tego, co mi pozwala żyć i pisać? Nie, nie ma u mnie żadnej antynomii między tym, co piszę i tym, co robię.

**ODGŁOSY: — Jest Pan członkiem Komisji Kultury WRN. Czy jest to funkcja honorowa względnie tytułarna — czy też istotnie**



Fot. G. Pucinto

**ma Pan — jako pisarz — możliwość współkształtowania polityki kulturalnej województwa?**

**ODGŁOSY: —** Modna jest teza o antynomii między działalnością społeczną a twórczością pisarską. Pan jest niejako „żywym dowodem”, iż obie te dziedziny działalności mogą iść w parze i to bez szkody dla intensywnej pracy pisarskiej. Jest Pan radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, członkiem Komisji Kultury WRN, a więc działaczem społecznym w pełnym tego słowa znaczeniu. Interesuje nas w jakim stopniu fakt, że jest pan pisarzem, odzwierciedla się w Pana działalności społecznej, i odwrotnie, — czy ta działalność ma jakieś znaczenie dla Pana twórczości.

**Z. NIENACKI: —** Teza o antynomii między twórczością pisarską a działalnością społeczną, wydaje mi się, bierze się z koncepcji pisarza jako człowieka nieustannie „skłóconego z życiem”. Być może koncepcja ta ma jakieś uzasadnienie, wyznaje jednak, że nigdy się nad tą sprawą poważnie nie zastanawiałem. Jestem zdania, że sekret kryje się w konkretnej osobowości każdego pisarza i w specyfice jego twórczości. Mój temperament, jak również charakter mej twórczości, nie pozwala ograniczać się tylko do pisania. Zresztą nie mitologizujemy tej działalności społecznej. Do czego się w końcu ona sprowadza. Jestem członkiem partii, z tymi samymi prawami i obowiązkami co inni. Jeśli władze proszą mnie o wyrażenie opinii czy ustosunkowanie się do jakiegoś zagadnienia, jestem zobowiązany to zrobić. Tym bardziej, że zawsze chodzi o jakieś bardzo żywotne problemy kultury w województwie. I nie jest chyba źle, jeśli przed rozstrzygnięciem tych spraw zabrzmi czasem głos pisarza. Nie, nie robię tego za „darmo”. W zamian — siłą rzeczy — poznaję wiele istotnych problemów nurtujących działaczy kultury w województwie. Należy do młodszego pokolenia i, oczywiście, krąg moich doświadczeń życiowych pozostaje niewielki. Muszę je więc ciągle poszerzać. W jaki sposób? Byłem lawnikiem w sadzie i tak powstały dwie moje książki: „Z głębokości” i „Sumienie”. Teraz jestem radnym z powiatu skierniewickiego i czy chce czy nie chce, muszę stykać się z najróżniejszymi sprawami ludzi na wsiach i w małych miasteczkach. Przyszłość pokaże czy potrafiłem zdobyć nowe doświadczenia dla swej twórczości. Nie wiem, czy jestem dobrym radnym i czy są ze mnie zadowoleni ci, którzy na mnie głosowali podczas wyborów. Wyznałem, że często o tym myślę i drażni mnie zupełnie nieznane dotąd uczucie: współodpowiedzialności za wiele spraw. Jest to ciężkie i bardzo nekające uczucie, ale może zbyt poważnie traktuję i siebie i to co robię? Ale o jednym jestem głęboko przekonany: nie wierzę w trwałość literatury, która nie wyrasta z konkretnej gleby. Nie wierzę w pisarzy, którzy nie mają swojej „małej ojczyzny”. Niech nią będzie jedna ulica, jedna wieś, ale niech będzie. Nie wierzę w książki, które dzieją się wszędzie i nigdzie. Gdy byłem w Łeningradzie, pokazywano mi ulice, domy, podwórka, po których chodził bohaterowie powieści największego pisarza naszych czasów — Dostojewskiego. Czytałem pamiętnik, który postużył Dostojewskiemu do stworzenia postaci starca Zosimy w „Bračach Karamazow”. W Pradze pokazywano mi ulice, domy, parki i schody, gdzie toczy się akcja „Procesu” Kafki. Pisarstwo tych twórców wyrosło z konkretnej gleby. Nasi post-kafkowsy i post-szulcowcy zdarli tylko naskórkę ze swych pierwowzorów, nie sięgnęli głębiej i nie zrozumieli miąższości tamtego pisarstwa. Proszę mnie więc nie rozumieć. Przeniję nie ośmieliłbym się porównać do tamtych tytanów. Powołuje się tylko na przykład określonej metody. Nie piszę noweli z kluczem, jak to sugerują niektórzy krytycy, stawiając zarzut, że

**Z. NIENACKI: —** Wspomniałem przed chwilą o tym nowym dla mnie uczuciu współodpowiedzialności. Bierze się ono właśnie z tej możliwości współkształtowania polityki kulturalnej w naszym województwie. Wyznaje, że to nie ułatwia mi życia. Dawniej jeździłem po naszym województwie jako bez troski pan Z.N. Teraz to się skończyło. Oto nową widzę te stojącą na przedmieściu W. — stara rudera. Czemu ta rudera jeszcze stoi? Przecież lokatorów miano przeprowadzić, a dom rozebrać. Dlaczego to nie zostało zrobione? Ktoś napisał, że gdzieś tam widział zabytkowy dworek, który się niszczy. Ja to też widziałem i przynajmniej mu rację. Tylko, że ja wiem jaką sumą pieniędzy dysponuje WRN na ochronę zabytków i znam hierarchię potrzeb. W Skierniewicach nie ma odpowiedniego kina, nie ma Domu Kultury, a przecież mimo wszystko musi tam się rozwijać życie kulturalne. W bieżącej pięciolateczce nie ma mowy o budowie Domu Kultury, jak więc znaleźć środki na zarządzenie z tej? Pieniądze? O, pieniądze może być znaleźć, ale skąd wziąć „moce przerobowe”? Czy Pan wie, co znaczy to magiczne słowo? W województwie łódzkim tak są pod tym względem napięte plany, że nie znajdzie się żaden wykonawca dla podobnej inwestycji. A przecież w końcu trzeba oddać do użytku budowany przez tyle lat Dom Kultury w Radomsku. Lecz może jednak daleko się zbudować kino w Skierniewicach?... Mógłbym Panu wyliczać godzinami tysiące podobnych spraw, o których kiedyś nie miałem najmniejszego pojęcia. Pytał Pan o możliwość współkształtowania polityki kulturalnej w województwie? No, przecież w ostatecznym rachunku to my, radni, opiniujemy projekt budżetu w dziedzinie kultury i zatwierdzamy go, a więc decydujemy o tym, na co przeznaczony zostanie pieniądź. Ten rozdział pieniędzy na różne cele, to jest między innymi wyliczenie kierunków polityki kulturalnej. Jest to zagadnienie bardzo ważne, gdyż sprawy kultury w województwie łódzkim zdobywają coraz wyższą rangę, o czym chyba najlepiej świadczy fakt, że aż trzech posłów z Ziemi Łódzkiej (Tow. Mojkowski, Kaczmarek i Błajszczak) zasiada w sejmowej Komisji Kultury. Nadanie tak wielkiego znaczenia problemom kultury stwarza atmosferę, w której pisarz czuje się pożyteczny i jego głos się liczy. Ja wiem, że określenie „sprzysięgająca atmosfera” może się Panu wydać ogólnikowe. Podam więc przykład: w ubiegłym roku z nadwyżek budżetowych WRN przekazano dodatkowo na uzupełnienie księgozbiorów w bibliotekach — ponad milion złotych. Pan chyba zdaje sobie sprawę, że do takiego podziału nadwyżek zbiegają się wszystkie komisje i każdy ciągnie na swoją stronę, a potrzeby w każdej dziedzinie naszego życia są przegromne. Więc jeśli znalezione ten milion na książki, to jest to najbardziej wymowne.

**ODGŁOSY: —** Wspomniał Pan tylko o jednym aspekcie polityki kulturalnej, jaką jest rozdział funduszy na poszczególne dziedziny kultury. Interesują nas inne aspekty i wykladniki tej polityki kulturalnej.

**Z. NIENACKI: —** Działaczy kultury w Polsce Ludowej obowiązują realizowanie zasad polityki kulturalnej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jak wiadomo, jest to polityka upowszechnienia kultury, zapoznanie najszerszych mas społeczeństwa z największymi wartościami kultury polskiej i światowej. Ale, rzecz jasna, inaczej to zadanie trzeba realizować w wielkich skupiskach ludzkich, inaczej w małych, a jeszcze inaczej

na wsi, gdzie niekiedy trzeba dobrą książkę po prostu włożyć do rąk rolnika. Jest to szczególnie ważne, gdy zdajemy sobie sprawę z ogromnych zadań podniesienia produkcji rolnej w naszym województwie. To może być ważne, że właśnie ja, pisarz, wspomniam o tej sprawie, ale, do licha, i na nas też ciąży obowiązek troski o to, aby w naszym kraju było dosyć chleba i mięsa. W tym kontekście słowo kultura nabiera szerszego znaczenia. Chcemy mieć rolnika kulturalnego, a to znaczy takiego, który umie obować z książką beletrystyczną i fachową. Jak to osiągnąć? Jestem w zespole ludzi wykształconych, światłych, znających dobrze zagadnienie, świadomych swego celu. I to mi sprawa satysfakcji. Oczywiście, ja wiem, co się zaczyna mówić o polityce upowszechnienia. Ze w gruncie rzeczy sprowadza się ona do przekazywania szerokim kręgom odbiorców sztuki ułtawionej. Ale ja się pytam: pokażcie mi dokument partyni, w którym jest powiedziane, że należy upowszechniać np. dzieła Eliza Orzeszkowej, a nie Bruno Schulza, bo ona jest łatwa, a nie trudny? Zareczam Panu, że kiedy myśliły o oddaniu do użytku Domu Kultury w Radomsku, ani nam przez głowę nie przechodziło, że mają się tam odbywać odczyty tylko o romantyzmie czy pozytywizmie, o Konopnickiej czy Sienkiewiczu a nie o współczesnej poezji polskiej, czy o literaturze amerykańskiej lub antypowieści. Zareczam Panu, że gdy myśliły w jaki sposób zdobyć środki na polki do bibliotek, w których nie mają już gdzie układać książki, to nikt nie twierdził, że na tych półkach mają stać tylko dzieła Kraszewskiego, a nie ma tam być miejsca dla książek Franca Kafki. Ale samo życie reguluje te sprawy. Jeśli piętnastu czytelników codziennie prosi bibliotekarkę o „Placówkę” Prusa, a ona ma te „Placówki” tylko jeden egzemplarz, to gdy otrzyma pieniądze na zakup, zareczam wam, że idzie kupić jeszcze kilka egzemplarzy „Placówki”, a nie „Proces”, którego, notabene, też nie można dostać. Lecz wpływający czas i tę sprawę ureguluje. Gdyby przeszedł Pan dyskusję nad repertuarem np. Teatru Ziemi Łódzkiej, przekonałby się Pan, że z roku na rok wzrastają wymagania wobec tego teatru, nikt nie ośmiela się już go traktować jako przedszkola widza, lecz jako teatr ambitny w pełnym tego słowa znaczeniu. Odbiorca dorasta i to on stawia wymagania. Ale czy to znaczy, że mamy zrezygnować z tych, co jeszcze nie zdążyli się włączyć do procesu, który nazywam „edukacją narodową”?... Jak wspominałem, w ogromnych rejonach naszego województwa dopiero uczymy ludzi obcowania z książką i z tego zadania nie wolno zrezygnować. Ja bardzo lubię literacką kawiarnię, doceniam ją, chętnie będę dyskutować na przykład o moim poezje, ale przecież jednocześnie nie potrafię myśleć, że mamy setki Klubów „Ruchu” na wsiach, które nie spełniają swego zadania, nie są nosicielami kultury w pełnym tego słowa znaczeniu. Czy nie warto też i o tym pomyśleć? Kawiarnia literacka tak często powołuje się na przykład amerykańskiej literatury, przeciwstawiając ją polskiej. A jednocześnie ci sami ludzie zrywają się, gdy zachęca się ich do podjęcia tematu związanego z zagadnieniem przemian na wsi. Rozmowa o kółkach rolniczych to niemal nietakt towarzyski. A przecież cała amerykańska literatura nie opowiada o niczym innym, tylko o podobnych sprawach, o przemianach wsi amerykańskiej, o tragediach farmerów, o ich konfliktach. Niestety, żyjemy ciągle w świecie mitów. Skarzył mi się niedawno pewien młody poeta, że nie ma zrozumienia dla współczesnej noweli, bo upowszechnia się sztukę łatwą. Odpowiedziałem mu, że podczas pobytu u bardzo wysoko postawionego działacza partyjnego województwa widziałem na jego biurku pod szkłem wycięty z gazety wiersz jednego z łódzkich pisarzy młodszego pokolenia. Jest to pisarz uważany za niezwykle trudnego. Ten fakt jest również chyba wymowny. Czynniki partyjne w województwie mają duże znaczenie dla współczesnej literatury, interesują się nią. A te nieustające niemal konkursy urzędowe przez województwo dla młodszych poetów? dla nowelistów? Te dwa plenery dla plastyków, zorganizowane w Działoszyńcu a potem w Skierniewicach? Te usiłowania stworzenia przez większe zakłady pracy w naszym województwie — własnych galerii współczesnej sztuki? Zaliż się nie niedawno dyrektor „Prozometu” w Skierniewicach, że tak mało plastyków-rzeźbiarzy brało udział w skierniewickim plenerze. Żelaza, metalu, materiału — nie brakowało, robotnicy ofiarowali społeczną pracę przy realizacji zamysłów rzeźbiarzy. Nikt nie żądał od twórców, aby była to rzeźba np. o prądownikach pracy, a nie jakaś nowoczesna forma. To także o czymś świadczy. O czym? Przynajmniej o tym, że pojęcie upowszechnienia kultury rozumiane jest w województwie bardzo szeroko. To wszystko jest również polityką kulturalną. Dodam jeszcze, że województwo łódzkie ma opracowane szczegółowo plany perspektywiczne rozwoju kultury na wiele, wiele lat naprzód. Są to chyba bardzo ambitne plany, trzeba tylko zakasać rękawy i je realizować.

**ODGŁOSY: —** Mówiąc o zagadnieniach upowszechnienia kultury, nie wspominał Pan ani słowem o sprawie tak ważnej, jak kształtowanie gustu odbiorców. To chyba bardzo istotne zagadnienie.

**Z. NIENACKI: —** O tak. Ale pominąłem je celowo. Mam w tej sprawie poglądy, który nie pokrywa się ze zdaniem wielu działaczy kultury i pisarzy, dlatego zrobiłem pewien „unik”. W swych poglądach na tę sprawę jestem raczej osamotniony i nie wiem, czy celowe będzie wytyczać go przed szersze forum. Ale może warto, aby i to zagadnienie stało się przedmiotem dyskusji? Otóż jak się Pan zapewne dobrze orientuje, ogólnie został przyjęty pogląd, że tak zwanej „sztuki nowoczesnej” powinno się odbiorcę uczyć i stopniowo do niej przyzwyczajać. A więc droga do zrozumienia współczesnej sztuki ma przypominać drogę do zdobycia wiedzy w szkole, poprzez jakieś klasy lub, jak to niektórzy mówią; kręgi wtajemniczenia. Innymi słowy, najpierw odbiorcy powinno się dać do czytania Kraszewskiego, potem Prusa, Sienkiewicza, Ze-

romskiego, potem ewentualnie bardzo ostrożnie coś „nowoczesnego”, aż wreszcie ukoronowaniem tego ma być czytelnik, który na przykład czyta Gombrowicza lub antypowieści francuskiej. Podobnie w malarstwie. Na środowisko poddane „kulturalnieniu” trzeba najpierw oddziaływać przy pomocy Matejki, potem ewentualnie impresjonistów, a dopiero — surrealistów, kubistów, dadaistów itd., itd., tak, jak to było w historii sztuki. A więc upowszechnienie kultury można by przedstawić przy pomocy skierowanego ku górze wykresu — od spraw łatwych do trudniejszych. I taka koncepcja wygląda bardzo logicznie i przekonująco, sam jej niejednokrotnie ulegałem. Ale przecież moje codzienne doświadczenie i spotkania z ludźmi, powiedziały mi coś innego: środowisko przyzwyczajone do Kraszewskiego czy Sienkiewicza z największą niechęcią przyjmuje literaturę tworzoną w zupełnie innej konwencji. Zarzykowałbym twierdzenie: im bardziej nawykło ono do określonej konwencji literackiej, tym niechętniej przyjmuje inną. To samo tyczy malarstwa: ludzie przyzwyczajeni do oglądania realistów, z największymi oporami przyjmują abstrakcjonistów. Zupełnie inaczej ta sprawa wygląda, gdy ma się do czynienia z elementem zupełnie świeżym i chłonnym. Góty jest zrozumieć i przyjąć jako własną, każdą konwencję twórczą. Pamiętam spotkanie z gronem nauczycieli, którzy z burzeniem mówili mi, że książka Andrejewskiego pt. „Bramy raj” jest napisana jednym zdaniem. „Kto to słyszał, żeby tak pisać. Gdyby uczeń całe wypracowanie napisał jednym zdaniem, to bym mu dał dwójkę. Tak nie wolno” — mówili. A przecież byli to ludzie, którzy przeszli wszystkie szczeble „wtajemniczenia” i zdawałoby się — są dojrzałym do odbioru tej konwencji. Innym razem towarzyszyłem pewnemu młodemu poecie, którego wiersze określone bywają przez niektórych jako „intelektualny bełkot”. Byłem z nim na spotkaniu w środowisku wiejskim, gdzie — jestem niemal przekonany — tylko niewielu w ogóle czytało książki. Otóż ci ludzie doskonale rozumieci o co chodzi w tych wierszach i dyskutowali o nich z największą powagą. A gdy jeszcze miejscowa nauczycielka udowodniła, jak bardzo tamtejsze ludowe piosenki są „surrealistyczne” i jak bardzo przypominają wiersze młodego poety — mój pogląd na wiele spraw zaczął się zmieniać. Dziś mógłbym służać setkami podobnych przykładów, wymieniając konkretne nazwiska, konkretne spotkania i dyskusje. A czy inaczej ma się sprawa z muzyką? Malarze i rzeźbiarze ludowi to tysięcy razy bliżej są współczesnemu malarzowi niż Matejce. Chłop przyzwyczajony do obcowania ze sztuką swojego sąsiada, ludowego artysty, o wiele łatwiej zrozumie nowoczesnego rzeźbiarza i malarza niż środowisko, które już wychowywał na Matejce lub Kossaku. Stformułuj jasno swój pogląd: nie wierzę, aby droga do upowszechnienia nowoczesności prowadziła przez jakieś stopnie, klasy, wtajemniczenia, tak jak to jest w szkole. Droga do upowszechnienia klasyki prowadzi przez upowszechnienie klasyki, a droga do upowszechnienia sztuki nowoczesnej prowadzi przez upowszechnienie sztuki nowoczesnej. A więc te sprawy trzeba robić równocześnie, nie czekając, aż odbiorca „dojrzeje”. Pan jednak chyba zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju pogląd jest bardzo osoboniony.

**ODGŁOSY: —** Jaki jest udział łódzkiego środowiska literackiego w polityce upowszechnienia kultury w województwie?

**Z. NIENACKI: —** Wydaje mi się, że ogromny. Nie ma chyba literata w Łodzi, który nie odwiedziłby województwa z jakimś odczytem lub spotkaniem autorskim. Niektórzy nawet bardzo polubili te wyjazdy i odbywają je dość często. Niektórzy czynnie włączają się w najróżniejsze prace z dziedziny kultury i akcje inicjowane przez województwo. Oczywiście, można się zastanawiać, czy udział ten nie mógłby być większy, czy wykorzystaliśmy wszystkie dostępne środki dla pogłębienia tych związków i kontaktów. Jak wspominałem, istnieje niezwykle korzystny klimat dla spraw kultury i dałem tego kilka przykładów. Wydaje mi się, że warto wykorzystać te sprzyjające aury; wszelka inicjatywa ze strony Związku Literatów na pewno spotka się z życzliwym przyjęciem. Nikt mi o tym nie mówił, ale to się czuje. Zdaje się, że warto też wspólnie pomyśleć o jakimś nowym wielkim konkursie na powieść o tematyce związanej z zagadnieniami województwa łódzkiego.

**ODGŁOSY: —** A teraz pytanie natury osobistej. Jakie są Pana zamierzenia i plany twórcze?

**Z. NIENACKI: —** Dla „Naszej Księgarni” napisałem powieść młodzieżową pt. „Księga strachów”. W „Czytelniku” do druku poszedł I tom „Łisich dęb”, zaplanowane przeze mnie eposy obrazujące losy ludzkie na wsi podłódzkiej pod koniec wojny i w pierwszych latach po wyzwoleniu. Obecnie pracuję nad drugim tomem eposu.

Co do mnie, wszcząłem pertraktację w sprawie kupna nad Wartą w pow. wieluńskim niewielkiego domku, który chcę zaadaptować do swoich potrzeb mieszkalnych. Nie nęci mnie Warszawa. Z Łodzi chcę się wyprowadzić na wieś. Wydaje mi się, że tam będzie mi się lepiej pisało. A w dobie samochodów i tranzystorów, życie na wsi wcale nie jest uciążliwe. Będzie to, jak się mówi, „głucha wieś”, trzynaście kilometrów od najbliższego miasta, kilka kilometrów od stacji kolejowej. Mnie to odpowiada.

# Katechizm Bazylego Tereka\*

Patrz na fotografię domu dziadka Franciszka i mimo woli powtarzam słowa Bazylego Tereka, domini est terra, pańska jest ziemia i wznostko co ją napelnia, okrąg ziemi i wszyscy mieszkańcy na niej, on bowiem nad morzami ją osadził... Odbitka jest słaba, dom zamglony, nie widać szczegółów, lecz ja pamiętam ten dom. Był niski, z gankiem oplecionym winem, ściany miały konstrukcję węgłową, dach był kryty słomą, dwuspadowy, z powodu wieku dach się obniżył, że mogliśmy dosięgnąć strzechy ręką. Okna miały kształt prostokąta, wysokie, przecięte ramą na krzyż. Takie domy można dzisiaj spotkać bardzo rzadko. Szanuję tę fotografię, przechodząc ją starannie, odczuwam nieokreśloną obawę, że mi zaginie, tyle cennych rzeczy przepadło w ogniu. I tego domu też nie ma, rozpadł się ze starości. Mogłbym odrysować ten dom z pamięci. Z ganku wchodziło się do sieni dzielącej dom na dwie części. Po jednej stronie była kuchnia i mały pokój, który był przeznaczony na jadalnię, a po drugiej stronie obszerna izba, którą dziadek przeznaczył dla siebie. Stało w niej szerokie łóżko, przykryte pierzyną, białymi prześcieradłami, biel ich była czysta, niczym nie zbrukana, a na wierzchu leżały jedna na drugiej trzy poduszki, również białe i jasiek z puchu. Dalej stała komoda, którą babka dostawała od swojej matki. Komoda miała cztery wysuwane szuflady, cała polerowana, błyszcząca, a obok komody spoczywał kufer, obity żelaznymi obręczami i pomalowany w kwietne wzory. Od wewnątrz był również pomalowany, lecz nie pamiętam tych malowideł. Nad tym kufrem, na ścianie wisiał zegar z żółtymi okrągłymi wagami, uwieczniony u góry ozdobną klatką, w której ukrywała się kukulka. Kiedy dochodziła określona godzina, kukulka wysuwała się ze swojego gniazda i jej głos słychać było w całym mieszkaniu. Kukulka zachwycał się sam ksiądz Kupczyński, słuchał chętnie jej głosu pan Józef, profesor, nie mówiąc już o dzieciach, które podkładały się pod okno i czytały na jej koncert. A kiedy zawitał do dziadka Bazylim Terek ze swoim nieudzielnym towarzyszem panem Jacenty, wówczas zmuszono ptaka do ciągłego wychodzenia ze swojej klatki. Bazylim przesuwał wskazówki zegara i wywoływał w ten sposób ptaka, który był oczywiście mniejszy niż w rzeczywistości, ale zrobiony z naturalistyczną wiernością; było to już dzieło dziadka, który do pierwotnej, drewnianej formy dokleił prawdziwe pióra kukulki, z przodu i wierzchu ląpkowoponięta, u spodu poprzednio faldonnie. Ten smukły ptak o długim ogonie i spiczastych skrzydłach był ulubionym ptakiem dziadka, który opowiadał, że kukulka była kiedyś dziećmi, a ponieważ zżarł ją ktoś raz świętą Annę szukającą jagód w lesie, wodziła ją swoim kukaniem po gaszczu i krzakach przez cały dzień, za karę została zamieniona w ptaka. Ale może nadejść taka chwila, że ona się znowu odmieni, i wtedy kto wie, dziadek zyska w domu nową gospodynię. Ksiądz Kupczyński łaskawie przyjął żarty dziadka, lecz dla zasady groził mu palcem, dziadek zaś (opowiadał) że łosnie wzdychał: „Zakulka kukawka za borem, zapłakała Marysińska za stolem”. Dziadek dodawał, że na wiosnę, kiedy usły sły kukulki, ma zwracać pobrzekiwać w kieszeni pieniędzmi, kukulka bowiem zwi-

## ROZMOWA Z AUTOREM

**ODGŁOSY:** — Kiedy powstał pomysł Pańskiej powieści?  
**T. PAPIER:** — Z pomysłem tym noszę się już od kilku lat, rodził się on już wtedy, kiedy pisałem „Powtórną śmierć Boriny”, ostatecznie jednak wykrystalizował się w roku 1965. — Dodam zresztą, że nie bez pewnej zabawy ze strony jednego z redaktorów Wydawnictwa Łódzkiego, zabętego poety i pisarza, Tadeusza Chrościelewskiego.  
 — Tem powieści jest życie Władysława Reymonta. Dlaczego używa Pan nazwiska pisarza w zniekształconym, dyskusyjnym brzmieniu?  
 — Ponieważ wiele wskazuje na to, że prawdziwe nazwisko pisarza powinno właśnie tak brzmieć. Trudno tu przedstawić wszystkie opinie badaczy i historyków literatury, zajmujących się tym problemem (jeśli to w ogóle jest problem). Jedni są zdania, że przemiana Reymonta w Reymonta — to wynik snobistycznych zabiegów autora, inni, że jest to po prostu zwykła pomyłka w jednym z dokumentów, wszyscy są jednak zgodni, że ojciec pisarza nazywał się Rejment.  
 — Jaki okres życia artysty obejmuje Pańska powieść? Ow „kawał” w tytule zapowiada chyba lata młodzieńcze?  
 — Oczywiście. Doprowadzam historię pisarza do roku 1993, kiedy to — jak pisze biograf — mając w kieszeni „trzy ruble i 30 kopiejek, parzyszy się zwierzchnikom korespondencjami drukowanymi w „Głosie”, bierze rozbrat z kolegą i udaje się do Warszawy, aby „piórem zdobywać świat”. Dodam tu od razu, że biografia Reymonta jest bogata w zaskakujące niespodzianki i przygody. Właściwie każdy niemal fragment jego życia mógłby stanowić kanwę osobnej powieści. Nie chodzi mi jednak wyłącznie o zaspokojenie powierzchownej ciekawości fabularnej czytelników. Próbowałem także nakreślić drogę młodego Reymonta (poprzez liczne perypetie) do zawodu, który opanował najlepiej i który przyniósł mu światową sławę; narysować to polityczno-społeczne i obyczajowe tamtych czasów; uchwycić te elementy, które odbiły się później czy wywarły wpływ na jego twórczość pisarską.  
 — Zrealizowanie Pańskich ambitnych zamiarów wymagało z pewnością szerokiej dokumentacji?  
 — Z pewnością. I była to nie tylko dokumentacja sprawdzona i krytyczna. Żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają opowieści swoich ojców o latach młodości Reymonta. Mam pisemną relację syna leśniczego, który w latach 1893—1903 pracował w majątku Kobieli Wielkie; autor tej relacji wspomina wiele ciekawych zdarzeń i osób, które przeżył w czasie, w którym żył Kazimierz Tymowski, właściciel majątku; szkicuje obraz stosunków, jakie panowały między dworem a chłopami; rysuje między innymi postać starego powstańca z 1863 roku, zesłanego na Sybir, księdza Bazylego Tereka, który — wedle tej relacji — był pierwowzorem Rocha w „Chłopach”. Nie jest to, rzecz jasna, pewnik historyczny, ale autentyczny opisów zasługują na uwagę i korzystać z tego w swojej pracy.  
 — Czy możemy spodziewać się Pańskiej książki na półkach księgarskich jeszcze w tym roku?  
 — Chciałbym, aby tak było.  
 — Życzymy Panu tego gorąco wraz z dalszą pomyślnością w pracy twórczej.

ROZMAWIĄŁ: A. M.

gdy za czasów Bazylego, dziadka, Józefa Rejmenta był częścią polskiej rzeczywistości, i ksiądz Terek, powstaniec, Sybirak, był jedną z tych postaci, które autor „Szkiców” opisywał? Patrzę na to zamglone zdjęcie, twarz okrągła, sterczący nos, rzadkie, ścięte na jeża, czy to możliwe, abym odnalazł portret człowieka, który, kto wie, wedle przypuszczeń dziadka, i nie tylko dziadka, bo inni też wysuwali ten domysł, mógł potem zamortychować jako Roch w wyobraźni autora „Chłopów”? Bazylim Terek miał różne przezwiska, dziadek mi opowiadał, że ludzie nie mogli zrozumieć człowieka, który powróciłszy z kategorii, nie uspo koił się, chodził po wsiach, zbierał dzieci, uczył, opowiadał im o powstaniu i o bitwach, w których brał udział, albo mówił — jak to sam określał z gryzącą intonacją — katechizm o dalekiej Syberii, w której żyją wygnanci i zamarzają z tęsknoty za daleką ojczyzną. Bazylemu Terekowi towarzyszył Jacenty — nie pamiętam nazwiska, dziadek mówił, że Jacenty był z Bazylim w powstaniu, był na Syberii, chodził krok w krok z Bazylim, kiedy Bazylim opowiadał, Jacenty mruzczał coś po swojemu, przy taktował Bazylemu. Pan Józef cenil Bazylego, wyrażał się o nim z uznaniem i z tym niewyraźnym odzieniem szacunku, który odnosi się do ludzi niezwykłych, a często niezrozumiałych, ale drżał, lekkość pojawiał się w pobliżu, bo mógł być pewien, że nikt i nie nie zdoła powstrzymać jego Staska od ucieczki z domu; może będzie się wioczył razem z Bazylim po wsiach i słuchał jego opowieści?

„Nie rozumieliśmy wszystkiego, co mówił — powiada dziadek — mowę miał dziwną, ale bardzo nam się to podobało, człowiekowi chciało się plakać”. Bazylim Terek (nacięszy się z zegarem z kukulką) mówił: „Domini est terra. Pańska jest ziemia i wszyscy mieszkańcy na niej, on bowiem nad morzami ją osadził i nad wodami ją utwierdził. Pańska jest księga życia, tak jest napisane, swoboda jest dana każdemu, i ptakowi, i zwierzęciu, i człowiekowi, lecz dlatego nie wolno jest użyć wyrazu — ojczyzna? Zandarm mi powiada — wy czto tu działajecie? — ja mówię — uczymyś. A zandarm. A eto nie wolno. A ja kłamie i po wiadom: kaka nie wolno toż mi żywiom na wsi i wsiom nie znajem azbuki rosyjskiej a chotimy się nauczyć po rosyjsku. Zandarm wie, że ja kłamie, to dobry człowiek, nie nie mów, a może myśli, że wariat. A ja przecie znam prawo, znam las, prowa dzielem ludzi przez las w powstaniu, „czy góra, czy dół, wiem z dala — tylko uszy na stawie, nosem powiódę, bo las zwyciężnemu, jak księga medrcowi, sam ci wszystko powie: tu ci sowa spłoszona zastęka, tam kania zapłacze, drożdż zaskrzypni, albo żolna zaskrzeczy, a tam jeszcze mądry kos gwizd nie, głupi ciętrzew grać zacznie — to już wiem gdzie jestem, gdzie rzeka, gdzie błota, co przede mną i co koło mnie; a ciemność zanadto nasiadzi i zaśnie stworzenie wszelakie, toć mehy, toć liszaje, toć ziemia święta też ci swoje powie”. A tam, dokąd nas wywieśli były nie takie lasy, nie takie pola tam były całe światy lasów, tajgi ogromne pokrywane góry i wawoży i równie i doły. Nasze lasy zostały lysiste wiorst za nami, a zostaliśmy umieszczeni w świecie, który pokrywał pół ziemi, był bez wyjścia, i zadne ptaki ci nie powieziały, gdzie jest droga do domu, ani sowa, ani kania, ani drozd, ani ciętrzew, tylko te wszystkie ptaki miały w duszy, w myśli, w sercu, słuchały ich we śnie, nigdy nie wierzyłem, że jeszcze powrócę tutaj, ale ot, my żywiom w Rossji, Rossija matuchna...”

Oto widzę tę izbę dziadka, pan Józef Rejment głowę trzyma w dłoniach, młody dziadek nerwowo gryzie fajkę, Bazylim pije lyk wina, a Jacenty sapie głośno ze wzruszenia i nawet kukulka, która wychodzi z zegara, nie zwraca jego uwagi, a w oknie widzę rozgorączkowaną twarz chłopaka.

\* Fragment przygotowywanej do druku powieści „Niezwykłe przypadki Kawalera Rejmenta”.

stuje bogactwo. „Ba! dorobież się go, ty...” — zaczynał ksiądz Kupczyński i nagle przerywał, na palcach skradł się pod okno, dziadek wiedział, co to znaczy, w krzakach, za oknem ukryty był Stasiek pana Józefa i cały czas podслуchiwał rozmowę, ksiądz wy chyłał się przez okno i krzychał: „Ja ci dam, ty basalyku, a do nauki to go nie ma!”

Cóż bym dał, żeby mieć ten zegar dzisiaj w moim domu. No, niestety! Ze sprzętów w pokoju dziadka pamiętam jeszcze szafę na ubrania, która stała w kącie. Srodkowe drzwi szafy były lustrzane, w tym lustrze odbijał się cały pokój, i zegar, i komoda, i kufer, i stół nakryty białym lub żółtym obrusem i przeciwiwaga ściana, na której wisiały w ramach fotografie dziadka, babki i profesora, ojca Staska a wyżej nad łóżkiem trzy święte obrazy — świętego Józefa z lilią w ręku, Pana Jezusa na krzyżu, któremu strażnik podaje na piec gąbkę umaczną w oczcie i Matki Boskiej w otwartej karmiącej malego Jezusa. Jeszcze jeden mebel godny uwagi i pamięci — to etażerka, na której stały książki dziadka,

potem na pierwszym miejscu znalazły się tutaj „Chłopi” z listem autora do dziadka. To była ksiądzka święta, nikomu nie wolno było jej ruszyć. Pamiętam jeszcze takie książki (potrzebne dziadkowi do nauki) jak „Wypisy polskie” Jeskiego, rosyjskie Paulsona i Wodowozowa, liczne elementarze. Była też ulubiona ksiądzka dziadka „Szkice syberyjskie” Szymańskiego.

Ileż ta jedna wyblakła fotografia starego domu kryje w sobie utajonego życia. W zbiorach po dziadku mam zdjęcie starego księdza, trudno się nawet domyślić czy to jest ksiądz, gdyż człowiek, który jest przed stawiony na tym zdjęciu nie ma na sobie sutanny, jest w długim surdicie, ze strzelba, przy nogach waruje pies, wyżej. Na od wrocie ręką dziadka wyrysowana jest jedna litera: B. Może więc Bazylim? Nie widziałem nigdy u dziadka tej fotografii, pewnego dnia, kiedy przeglądałem „Szkice syberyjskie” wypadła mi z książki. Może dziadek włożył ją tam jako zakładkę? A może uznał, że jedynę miejsce, w którym należy ją przechowywać, to właśnie ta ksiądzka o Sybirze, który dzisiaj należy do legendy,

## ROMAN ŁOBODA

# „KARTOTEKA” w Małej Sali

Minęły czasy, kiedy „Zielona Geś” Gaietyńskiego budziła sprzeciw, a nawet zgorszenie wśród konserwatywnej części bywałców teatru, zaś nowatorom służyła za sztandar postępu. Etyudy groteskowo-lyryczne obciążały teatry i teatrzyki studenckie w tym czasie, gdy tworzyli Ionesco, Beckett i... Różewicz.

Przed „Kartoteką” był „Polijancji” Mroźka, a nad wszystkimi unosił się duch Wiktiewicza. To jednak nie zmienia fakty, iż w „Kartotece” jest „cały” Różewicz od „Niepokojów” do „Wyszedł z domu”.

Tadeusz Różewicz pozostał wierny swojej poetyce, to znaczy gatunek nie zdołał zmienić poety, poeta usiłuje zmienić gatunek. Różewicz z własną sobie skromnością pisze tak: — „(...) Tymczasem dramat rozgrywa się w ciszy. W oceanie ciszy. A słowa są tylko małuskimi (koralowymi) wysepkami rozrzuconymi w tej nieskończonej przestrzeni. Staroswiecki jest teatr Dürrenmatta, Frischka, a nawet Wiktiewicza przy pominięciu rozpisany na głosy pod rękawkami. Ma on bardzo mało wspólnego z teatrem realistycznym — poetyckim. Z teatrem, który pragnie zaprezentować obecnie naszym przedsięwzięciem teatralnym i recenzentom.”

A oto, co pisał na temat „Kartoteki” (premiera: Warszawa 1966 r.) krytyk Jan Blonski: „Siła sztuki jest owa szder-

ca skromność, z jaką bohater odnosi się do siebie, a Różewicz do bohatera. W belkocie, w którym pisarz każe od czasu do czasu grzęznąć akcje, jest metoda i cel, a mianowicie odwołanie się do historii. Tylko dwo- na może ocalić trzeźwość naszych umysłów, a więc — w ostatecznym rachunku naszą własną wolność... Autor odwołuje się do niejasnej i niezważonej nadziei, która zachowała na dnie serca”.

Ktoż to dzień dzisiaj, który? Ano, 5. II. 1967 r. Niewiele czasu upłynęło, a stwierdzenia straciły nieco na sile, „W belkocie, w którym pisarz każe od czasu do czasu grzęznąć akcje, jest metoda...”

Wczoraj oglądałem „Kartotekę” w Teatrze Nowym. Na „belkot” reagowała publiczność trafnie, co nie wprawilo mnie w zdumienie, bowiem jak się rzekło były przed „Kartoteką” „Krzesła”, „Lekcja”, „Końcówka”, „Radosne dni”. Po takim i do niego zbliżonym repertuarze „Kartoteka” wydaje się po prostu swojska.

Różewicz pozostał wierny swej poetyce realizmu, chociaż w późniejszych wierszach próbował flirtu z nadrealizmem. Cóż, nie było grzechu, to i nie ma grzechu. Ale w „Kartotece” jest perwersyjna przewrotność, która autor, nie bez słuszności, nazywa teatrem realistycznym — poetyckim.

W tym jest metoda, nawet dowcipna i całkiem oryginalna. Charakterystyczne dla wierszy Różewicza ostre i przenikliwe obrazy z życia podbudowane dyskretną filozofią, przenosi poeta do swego dramatu, wiąże paradoksem („belkot”), ironizmem — dowcipem (gorycz), miesza wszystko, nie licząc się z fizycznym czasem i całym ten strumień, już teraz dramaturgicznych skojarzeń, przepuszcza przez swoją świadomość, którą pozycza bohaterowi sztuki razem z obsesjami, obawami i pytaniami.

Otoż i metoda: swobodnie przepływający strumień realistycznych etud przez świadomość. Wygląda na to, że realne stwory dramatu konstruuje Różewicz nadrealistyczną metodą. Dowcipna i całkiem oryginalna forma zdrady-niezdarda, jakby powiedział Gombrowicz.

W ten sposób „Kartoteka” jest zupełnie komunikatywna, ale jej sens nie wydaje się tak zupełnie jednoznaczny. Bo coż to jest „dojście do samego siebie”? Bohater „dochodzi do siebie” przez zadumę nad sobą, przez retrospekcje. Doznania i realia, które kształtowały życie bohatera, układają się na zasadzie luźnych skojarzeń w czasie, ale prawdziwa ich kolejność rządzi logika czasu psychologicznego bohatera. Ta logika, to pragnienie poznania siebie samego, to próba samookreślenia.

Jest w tym ironia i gorycz, liryzm i cynizm, miłość i pogarda, zwątpienie i nadzieja.

Nadzieja. „Wujek jest prawdziwy i wazy prawdziwe, i nogi prawdziwe, i spódnie prawdziwe, i serce prawdziwe, i uciecia i myśli prawdziwe, i słowa prawdziwe”.

Zwątpienie. „Aufstehen! Aufstehen! Raus! Alles raus!” Obsesja tych czasów nie opuszcza Różewicza, Różewicz pa-

mięta dotkliwie. A pokolenie — mówi do rówieśników poeta — zagubione. Różewicz, że jego, Worosyjski, że jego, Sko- deny z drugiego roku filozofii, że jego zagubione. Takie czasy czy taka moda od „Rocznika Kolumbów”?

Pogarda? „Idiotko, mogłaś być dla mnie muzyką, ogrodem owocem, mogłaś być drogą mleczną, krowo. Ona jednak walała wówczas jałdogo ewan- gelia, cynika, bałwana”.

Bohater „dochodzi do siebie”? Zdaje egzamin dojrzałości. „Co pan ostatnio czytał?” — „Za co kochasz Chopina?”

Nadzieja? „Jaki ma pan cel w życiu?” „Jakie są pana poglądy polityczne?” „Czy pan wierzy w zbawienie?” „Co pan zamierza uczynić, aby zachować pokój na świecie?” Bohater mówi, że kocha ludzkość, ale

nie umie dać odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Różewicz nie odpowiada bezpośrednio na pytania. Nie wiem, czy w ogóle odpowiada na pytania. Różewicz wery, że szczęście to rozbudowa własnej świadomości. Tak mi się wydaje. W całej swej twórczości, a także w „Kartotece” Różewicz jest moralista, jest moralny, ale sceptyczny.

„Kartoteka” w Teatrze Nowym jest w pełni udana. Reżyser, Jan Skotnicki, nieznacznie zagubił w wartości Różewiczowskiej poetyki dramatycznej. Spektakl jest zrobiony z klarowną przejrzystością, plastycznością, bez przesady a z prostotą. Komunikatywność jest także zastrzeżona koncepcji reżysera, który własnie tego typu formy czuje jak mi się wydaje, doskonale.

Małe usterekki dotyczą jedynie przerysowań naturalistycznych w dwu małych scenkach, no i jednej malabreski. To można przeboleć, gdy zdrowie dopłuje.

Bogusław Sochnacki w roli Bohatera nie był bohaterem, był człowiekiem dobrze rozumiejącym. Ten „dobry” fakt dawał mu swobodę i elastyczność przeżywania różnych, ale utrzymanych w jednej tonacji, stanów refleksyjnych i emocjonalnych. Czasami porządził się w sobie, a czasami jakby ośserwował siebie z zovnatr. Nie zajmował się specjalnie ani gestami, ani mimiką; chodził jak to się mówi w takich sytuacjach. Ano właśnie — w takich sytuacjach.

Podobnie prawdziwą postacią Ojca stworzył Adam Daniewicz, a Matki — Janina Jablonowska.

Dużo pogodnej sympatii, ale i żądania wzbudził Bolesław Nowak w roli Wujka, swoje walory potwierdził w roli Nauuczyciela. W ogóle nie było dysonansów. Zarówno trzej Starej (Wojciech Piliński, Jan Rudnicki, Marian Stanisławski) jak i „średnia generacja” — Gosć w cyklistówce, Gosć w kapeluszu i Pan z przedziałkiem (Franciszek Trzeciński, Ryszard Siogowski i Dobrosław Mater) nie odstawali od konwencji.

Tłusta Kobieta (Kryszyna Karkowska) — pierwsza klasa, jak zresztą i pozostałe panie w tym spektaklu: Maria Białobrzezka, Mirosława Maludzińska i Barbata Gołobiewska.

Na Ich ręce najlepsze życie- nia caloroczne.

Scenografia, Czy nie za „bo- gata”?

„KARTOTEKA”. Tadeusz Różewicz. Reżyseria: Jan Skotnicki. Scenografia: Ewa Czuba. Teatr Nowy.



Adam Daniewicz (Ojciec), Bogusław Sochnacki (Bohater) i Janina Jablonowska (Matka).

# Konfrontacje 66

W tym roku nie mieliśmy już Festiwalu Festiwalu Filmowych ale Konfrontacje 66. Idea owych Konfrontacji wydaje się być bardzo słuszną. Chodzi bowiem o zaprezentowanie najciekawszych, najżywiej dyskutowanych pozycji roku, a jak wiadomo festiwalowe nagrody nie zawsze wiążą się z najlepszymi dziełami. Wynik Konfrontacji należy jednak ocenić jako polowiczny. Zabrakło bowiem wielu cennych filmów o których słyszeliśmy. Starym zwyczajem, w ramach sprzedaży wiązanej, wpakowano nam kilka dzieł, które już były na ekranach. Nadto Łódź znów została pokrzywdzona i nie zobaczyliśmy trzech filmów francuskich, które ponoć stanowiły clou programu, zwłaszcza w przypadku filmu Resnaisa i Leoucha.

Mniej lub bardziej udane, Konfrontacje składają się niewątpliwie do paru refleksji dotyczących aktualnego stanu sztuki filmowej. Stwierdzono niemal jednomyślnie, że rok miniony nie przyniósł żadnych większych rewelacji na niwie kinematograficznej. Już od dłuższego czasu budzi we mnie głębokie zdziwienie fakt, iż czyni się zawsze mnóstwo lamentu z powodu braku urodzaju na arcydzieła filmowe, tak jak gdyby inne sztuki raczyły nas nieustannie realizacjami na najwyższym szczeblu. Trwa jak widać nader głęboko zakorzenione przekonanie, iż najmłodszą z muz musi wciąć jeszcze na nowo potwierdzać swoją wartość. A może po innych sztukach nikt się już nie dobrego nie spodziewa?...

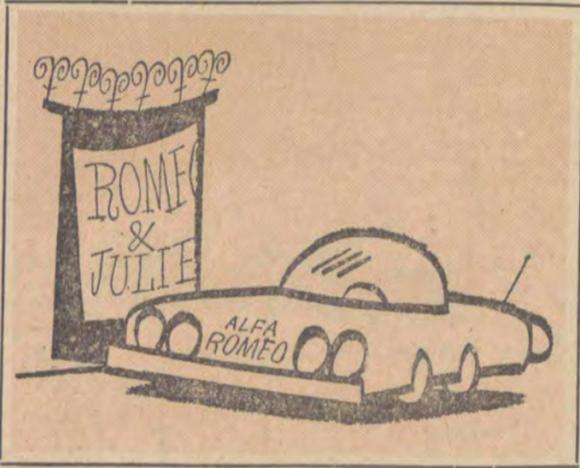
Fakt faktem, że w porównaniu z innymi dziedzinami sztuki film wcale nie wypadł najgorzej, a kto wie może wprost przeciwnie, znacznie lepiej.

Poszukiwania dzisiejszych filmowców mierzą się w dwóch zasadniczo kierunkach, a mianowicie w kierunku eksperymentowania formalnego, wypróbowywania nowych możliwości języka filmowego oraz podejmowania, nowych, trudnych, złożonych treści, z których jakieś często rezygnuje współczesna literatura. Pierwszy kierunek (pojmuję w moich rozważaniach filmy, które oglądaliśmy już wcześniej) reprezentowali na Konfrontacjach jugosłowiański film reżysera Mimicy „Ponie działek albo wtorek”. Mimica wszadził do jednego rondu dwa aktualnie modne nury: kino introspekcyjne, kreacyjne z kinem podpatrującym, opartym na obserwacji i ikonostacji wydarzeń. Ambitny ów wyczyn nie powiódł się reżyserowi zapewne z tej przyczyny iż forma całkowicie zdyktowała treść. Mimica chciał zmieścić w swoim filmie wszystko i nie powiedział, nie, oprócz kilku zdawkowych oczywistości. W filmie widać wyraźne strefy wpływu od Felliniego począwszy, a na Vardzie skończywszy. Ale mimo wszystko, w filmie Mimicy urzeka owa widoczną fascynacją autora nieogarnionymi dlań jeszcze możliwościami kina.

Znacznie bardziej interesujące rezultaty artystyczne ma na swoim koncie drugi ze...

wspomnianych kierunków — nurt treściowy. Termin treściowy nie oznacza w tym przypadku deprecjonowania strony formalnej. Mówimy o dziełach interesujących artystycznie, a zatem o dziełach operujących dojrzałym i świadomym swych wartości językiem. Językiem nowoczesnym — dodajmy. Ale być może nie to jest najważniejsze. Istotną bowiem jest pasja moralna owych filmów, pasja tropienia śladów dzisiejszego człowieka, odnalezienia go w pełnym, niezbyt zapewne budującym kształcie.

Rzecz znamieną, w innych sztukach mniej związanych z techniką niż film, obserwujemy stopniowo odchodzenie od obowiązkowych tradycji antropocentryzmu i powolną dezintegrację człowieka jako



istoty myślącej i działającej. Świat ludzki ustępuje miejsca światu przedmiotów, światu namiętności i dążeń — potokowi wrażeń. Właśnie film, sztuka najbardziej mechaniczna stał się dziwnym losu zrzadzeniem obrócić wielkich racji moralnych, narzędziem, szukaniem prawdy o człowieku naszych czasów. Film wziął na siebie funkcję, którą zaniedbała, jak się zdaje współczesna literatura, funkcję sumienia człowieczego.

Ten rodzaj filmów reprezentowali na festiwalu pięć dzieł: „Pierwszy nauczyciel” Michal kowa — Konczalowskiego, „Zimne dni” Kovacsza, „Na los szczęścia, Baltazarze” Bressona, „Niepokoję wychowankę Törlessa” Schloendorfa, „Wóz do Wiednia” Kachyna. Warto zwrócić uwagę, że trzy z nich powstały w krajach socjalistycznych, świadcząc o twórczym fermentie moralnym, o odwadze w podejmowaniu spraw nielubianych do jedynaczynnego i ostatecznego sformułowania. Szczególnie pasjonują i piękne są dla mnie dwa ostatnie z wymienionych tu filmów. Autorzy ich nie wahają się podważać ugruntowanych w nas głęboko wyobrażeń o stałości naszych za sad moralnych, o barierze oddzielającej w sposób absolutny dobro od zła. Obydwa filmy są zresztą świetnie zrealizowane, bardzo konsekwentne i jednolite stylistycznie. Obydwa zmuszają do zastanowienia.

„Niepokoję wychowankę Törlessa”, abstrahuje od pierwowzoru literackiego czyli powieści Musila, należą do filmów, które można by określić mianem rozrachunkowych. Młody, niemiecki reżyser chce odsłonić oczom swoich rodaków moment, w którym poczciwy niemiecki mieszczuch może przekształcić się w kata. Film Schloendorfa jest bardzo ostry, wyraźnie wskazuje iż zło jakie uczyniono nie było tylko winą grupy patologicznych i zwyrodniałych morderców. To zło tkwiło w każdym „uczciwym” Niemcu i w każdym z nich mogło dojść do głosu. Szlachetny Törless zdobywa się wprawdzie na wnikliwą analizę sytuacji ale tylko po to, by straciwszy złudzenia i wiarę, uciec od wszelkiej odpowiedzialności i działania. Tacy byliśmy — zdaje się mówić Schloendorf — i takimi znów stać się możemy. Ten film jest nie tylko surowym rachunkiem sumienia ale i przestroją na przyszłość. „Niepokoję wychowankę Törlessa” budzą podziw swoją młodzieńczą pasją i dojrzałością zarazem. Reżyser potrafił zachować

wał wieloznaczność, a ściślej mówiąc wielowarstwowość swego wywodu. Nie uległ po kusom taniej publicystyki i efektów demagogicznych.

„Wóz do Wiednia” Kachyna jest dla mnie najznakomitszą pozycją tegorocznych Konfrontacji, potwierdzeniem wielkiego, rewolucyjnego, jakby powiedział Bazin, humanizmu szkoły czeskiej. Trudno wyobrazić sobie film bardziej antywojenny w swej wymowie, choć tak w nim niewiele tych zewnętrznych cech jak zwykle kojarzyć się z wojną. Kachyna wyrażnie nawija do problematyki podjętej przez Resnaisa w „Hiroshi mie mojej miłości”, kontynuując moralną i myślową linię francuskiego filmu. Wojna dla Resnaisa i Kachyna niszczy przede wszystkim moralnie człowieka, niszczy go jako pełną i integralną jednostkę. Rozpętana przez ludzi wojna, staje się żywiołem, który wymyka się ich panowaniu, stwarza własne bezliftose prawa, którym chcą nie chcą musza podlegać, aczkolwiek przez cę one ich najgłębszej, czło-

wiecznej naturze. Kachyna odsłania przed nami tę sytuację, o których mówi także Schloendorf, sytuację, w których czoło wiek może stać się katem albo ofiarą, w których zaciera się całkowicie, tak troskliwie chroniona, granica między dobrem i złem. W obliczu wojny, racje jednostkowe, są bietykcyjne, przestają się liczyć. Tragizm „Wozu do Wiednia” wynika z absurdalności wojny widzianej z normalnego, ludzkiego punktu widzenia. Kachyna w niesłychanie subtelny sposób ukazuje dialektykę wrogosci i solidarnosci dzielającej i łączącej dwoje ludzi zagubionych w wojnie i w lesie. „Wóz do Wiednia” uderza swoją nadzwyczajną prostotą w porównaniu chociażby z hysteryczną „Hiroshima”. Wokół tego filmu nagromadziło się dużo nieporozumień i fałszywie jednostronnych interpretacji. Moim zdaniem sztuka filmowa może się szczycić tym, iż potrafi wydać dzieła tej miary i war tości co „Wóz do Wiednia”.

„Na los szczęścia, Baltazarze” Bressona nie należy do filmów w stosunku do których można zająć jakąś jednoznaczna postawę. To dzieło fascynujące i irytujące zarazem, zastanawiające i budzące wewnętrzne sprzeczności. Przy oglądaniu „Baltazara” nasuwają się niestannie analogie z Bunuelem. Ale Bunuel jest pełen pasji, namiętny, a Bresson jest zimny jak lód. Niemniej podobieństwa zwłaszcza z „Viridianą” i „Los Olvidados” są wyraźne. Można zarzykować twierdzenie, że Bresson chce polemizować z Bunuelem po dejmując pewne jego motywy. Polemizować artystycznie i ideowo. W tym filmie jest także, wiele z Bernanosa, z jego „czarnego” katolicyzmu. Ale przede wszystkim ta przypowieść o osle ma w sobie coś z wizerunku świata Jano domini 1966, świata, nad którym krąży widmo bonidyizmu, widmo zimnego, beznamiętnego okrucieństwa. Jest to świat w którym tylko zwierzęła zachowały ludzkie odruchy, a ludzie natomiast albo biernie ulegają fascynacji zła (jak Maria) albo bronią pustych konwencji (jak jej rodzice). Jest coś niezdrowego, patologicznego w tym filmie. Być może dlatego, że sytuacja umożliwiająca powstanie i istnienie Bonda, stała w nim potraktowana poważnie.

Wartościową pozycję stanowi bez wątpienia dokumentalny film Pontecorvo „Błota o Algier”. Znakomicie zrealizowany, świetnie sfotografowany, film ten relacjonuje dzieje narastania wywołanego ruchu narodowego w Algierze. Starając się zachować maksimum obiektywizmu w przedstawianiu wydarzeń, Pontecorvo stara się wyraźnie przekonać widza o nieuchronności zwycięstwa raz obudzonego ruchu narodowego. Niezrozumienie tego faktu ze strony polityków powoduje niepotrzebny przelew krwi, giną w sposób równie okrutny Algierczycy i Francuzi. Słabością filmu Pontecorvo jest dążenie do fabularyzacji, uromantycznienia pewnych wątków i charakterystyczne dla Włochów posługiwanie się dziełmi dla uzyskania większego efektu emocjonalnego.

Sympatyczną niespodziankę sprawił widzom kubański film reżysera Alea „Śmierć biurokraty”. Film dedykowany różnym znakomitościom w historii filmu, bardzo zgręcznie wykorzystuje tradycje błęsk filmowej i zarazem satyry w duchu Majakowskiego, dając w rezultacie dzieło oryginalne i śmieszne, przypominające w klimacie słynne komedie radzieckie okresu niemieckiego. Z drugiej zaś strony cała ta historia możliwa jest wyłącznie w kraju humor ościera się tu co chwila o makabre, nigdy jednak nie przekraczając granicy dobrego smaku i autentycznego komizmu. Ostrze „Śmierci biurokraty” godzi dość głęboko i chwilami świat ukazany przez reżysera, mimo całej wesołości jaką w nas budzi, ma w sobie coś z karkawskiego kosmaru całkowitego absurdum.

Film pt. „Głód” reżysera Carlsena oparty na powieści Hamsuna, był pięknie sfotografowany i pięknie nakręcony. Natomiast nieporozumieniem było chyba umieszczenie w ramach Konfrontacji włoskiego filmu „Panie i panowie” Germiego. Bardzo zgręcznie zrealizowany, film ten jest pozycją typowo komercyjną, operującą dość niewybrednym humorem i przeznaczoną dla niewybrednej publiczności. Ładunek satyry jest tu całkowicie wtórny i całosi przypomina raczej zgrabną komedię bulwarową niż film o jakichkolwiek ambicjach.

Z mieszanymi uczuciami ogląda się „Matnię”, dzieło polskiego reżysera Romana Polańskiego występującego pod angielskimi szlendarami. Jest to rzadki przykład znakomitego opanowania warsztatu i sztuki robienia z niczego autentycznego kina. Ale nie sposób oprzeć się wrażeniu, że Polański kpi sobie z publiczności wprowadzając ją nieustannie w błąd, stwarzając pozory spraw, których w istocie nie ma. Polański podobnie jak szary mistrz Hitchcock i z równą mądrym niemal biegłością buduje napięcie wokół czegoś co nie istnieje. Bawi się niepokojem widza. Ale tym co budzi jeszcze większy niepokój jest obsesja nienawiści do ludzi. Podobne jak w „Nożu w wodzie” cała treść dąży się sprowadzić do gry prowadzonej przez trzy osoby — dwóch mężczyzn i kobietę. „Nóż w wodzie” jest jednak sielanka w porównaniu z „Matnią”. Zło krąży — oto formuła, w jaką dałoby się zamknąć znaną nam dotychczas twórczość Polańskiego: wspomniany „Nóż w wodzie”, „Dwóch ludzi z szafą”, „Saski”, „Matnia” wienyż dzieło. Wszystko co ludzkie zostaje tu podeptane i ośmieszone. Człowiek jest zły i brzydki. Polański szokuje brzydota swych bohaterów. O ile Bresson w „Baltazarze” demonizuje zło natury ludzkiej, Polański czyni je tylko żalonym, godnym pogardy a nie potępienia. Okrucieństwo jest dla niego oznaką godnej pożałowania słabości człowieka. Każda z postaci „Matni” jest katem i ofiarą zarazem.

Ten ponury film zakończył Konfrontacje 66 akcentem na der pesymistycznym. Zresztą optymizmu było w nich niewiele. Świat, w którym żyjemy jest świadectwem i zwierciadłem natury ludzkiej. Jego istnienie jest niestannie zagrożone, i stać być może ów niepokój i owa pasja moralna z jaką najwrażliwsi artyści starają się wniknąć w istotę człowieka, zbadać drzemające w niej możliwości, niewyczuwalne drgnięcia dobra i zła, od których przecież zależy istnienie naszego świata.

## KRONIKA



### CO TAM, PANIE, W TV?

W roku 1946 w żartobliwym liście otwartym do redaktora „Szpilek” pisałem: „Aktorzy nasi nie umieją na scenie mówić inaczej niż z patosem. Gdzie indziej słowa „Ofelio, idź do klasztoru” wypowiada się spokojnie niż u nas zwyczajne słowa: „Poproszę o szklankę wody”.

Dla zilustrowania podam przeciętny strzępek dialogu w przeciętnej interpretacji przeciętnych zdolnych naszych aktorów...

ON (jak gdyby był Kordianem i Hamletem w jednej osobie): — Dzień dobry pani, pani Kwiatkowska! Proszę, niech pani siada... (unosząc się) Co slychać u pani?

ONA (siada na normalnym krzeselku, z gestem, jakby chciała rozdrzeć swoje szaty, składające się z blezeru i plosowanej spódniczki; mówi łacząc w wydziewku uniesienie z gniewem, szloch z pokora i wiele innych dramatycznie-tragicznych akcentów): — Co slychać? Ano, nie takiego — byliśmy wczoraj u Mariańskich, było bardzo przyjemnie, trochę się wypilo, rozma wialimy o tym i owym, słuchaliśmy koncertu życheń...

Od tego czasu wiele się zmieniło, a w teatrze znacznie trudniej o patos w szlachetnym znaczeniu, inne są bowiem tendencje sztuk teatralnych współczesnych, a nawet poezji.

Ale ten błahy liścik przypomniał mi się wraz z początkiem sztuki Leona Wantuly „Wiadukt”, nadanej przez Katowice. Niemal dosłowna sytuacja. Kobieta przynosi mężczyźnie szklankę herbaty i ni stąd ni zowad oboje wpa dają w podniecenie, zaczynają się dramatycznie wynurzenia, choć nie ma dla nich jakiegokolwiek podtekstu, nie nie zapowiada jakiegoś podskórnego nurtu, który znajduje uisicie w słowie. Sa pozory dramatu, jest ograna w literaturze sytuacja: gospodarzowi zabierają ziemię pod tor kolejowy. Owszem, mogło to się zdarzyć, ale czy to typowe? Do typowości jesteśmy w pewnym sensie szluznie zniechęceni, więc czy to owocujące, czy z tego wynika jakieś autentyczne sytuacje? Niestety, nie: Od początku też widać że on i ona „mają się ku sobie”, autor każe nam jednak wierzyć, że strony zainteresowane, niezbyt skądinąd najwne, o tym nie wiedzą.

Czy to wszystko było winą aktorów? Nie. Przede wszystkim autor, może no cześciej reżysera Józefa Wyszymirskiego. Bohatera oświadcza: „Tam nie ma chwili czasu do stracenia”, i gadała, gadała. Jak w operze, z ta różnica, że w operze o tym się śpiewa („T-asaa-mmm nieeee maaaa chwil...”). Mimo to zadatki na postacie stworzył: Anna Gołbiewska (Doroła), Wincenty Grabarczyk (Szymek).

W innym nastroju oglądało się o dzień wcześniejszy Teatr Sensacji. Było to tym razem

widowisko szlegowskie znanego prozaka Aleksandra Minkowskiego „Wyjazd szubowy”.

Co jakiś czas w TV pojawia się termin „scenariusz”. Nie sztuka, ale scenariusz. Co to właściwie znaczy? Sugeruje nam specyficzna forma telewizyjna? Stanowi w razie czego usprawiedliwienie? Czy może, jak np. w sztukach choćby Carlo Gozziego, zostawia pewne sceny do rozimprowizowania aktorom? Jak w commedii dell'arte?

Na razie nam ten termin nie mówi, więc możemy „scenariusz” traktować tak jak sztuki. (Tak traktowaliśmy scenariusz Skowrońskiego „De krete”) Aleksander Minkowski siemnił do schemat sobowtóra. Udało mu się to dzięki Barbarze Dranińskiej i Krystynie Ciechomskiej. Nie znamy, się, dziełki Bogu, na szpiegostwie, ale mam wrażenie, że pokazane pierwotnie należy przyjąć z wielokrotnym przyzwyczajeniem oka. W praktyce szpiegostwa wszystkie ko zapewne jest zarówno bar dziej proste jak i jednocześnie bardziej skomplikowane. Chwilami nasuwało się przypuszczenie, że podobnie działano szpiegów przedstawiałyby jakaś współczesna Helena Mnisiak. Może zreszta się mylę...

Doświadczony reżyser czyli Józef Słotwiński nie oskarżył nam, mówiąc leżykiem krytyki odnoszącej się do beletrystyki, rozmaitych szczegółowych opisów uciekających się do pomocy leżących wstawek filmowych. W moim odczuciu czyniło to widokowi Minkowskiego — przeproszam: scenariusz — tym ciekawszym. Ostatecznie nie każdy telewizyjny przechodził choćby reżizje celna na Okcieu.

Chwilami czekałem, że scenariusz zawiadzi o jeszcze takich wywiad, a to czekanie wiązało się z wprowadzeniem postaci Borysa, ale Porys znikł bez usprawiedliwienia ze strony autora.

Aleksander Minkowski sfotografunkowo często udeziła się TV. I słusznie.

— Co tam, panie, w TV?  
— Ano, panie, nie szczeroból-nego. Od dłuższego — panie — czasu!

*Jan Huszar*

PS. Natomiast pozycja zasługująca na oddzielną wzmiankę był „Flebisycy Archimedeza”. Wcześniej śmiało da się nazwać sympozjonom. Sympozjum w sensie intelektualnym, jak i w sensie aktorskim. Zaproponowano nam trzy postacie: Giordana Bruna Rabelais'ego, Brueghla. (Nawiasem mówiąc, w 1962 roku ukazała się po polsku opowieść F. Timmermansa: „Piotr Brueghel”). Proprowali: doc. Andrzej Nowicki, doc. St. Trugudzi, prof. Aleksander Kobzdej, Opowiali lub wyjaśniali nieporozumienia: Władysław Biękowski i prof. Konst. Grzybowski. Aktorskie uciele Bruna należało do Andrzeja Łapickiego, Rabelais'ego do Maciej, Czechowicza, Brueghla do Tad, Lomnickiego, (Brueghel może najmniej się udał, ale aktorsko był najtrudniejszy do zinterpretowania; malarz o ubożeniu biografii ze względu na brak materiałów.)

J. H.

## KSIAŻKI NADESLANE

- Roman Pollak — WŚRÓD LITERATÓW, PWN, cena zł 80.
- Monika Warnieńska — DRUGIE ŻYCIE PANI MARIL, LSW, cena zł 28.
- Bolesław Jagielski — ZYCIORYS, Czytelnik, cena zł 10.
- Szymon Kobyliński — PROCH O SIANIE, Iskry, cena zł 15.
- Zygmunt Lempiński — T.I. — Renesans, Oświecenie, Romanizm, t. II — STUDIA Z TEORII LITERATURY, PWN, cena zł 170.
- Eugeniusz Jewtuszenko — WIERSZE, PIW, cena zł 10.
- Wiktor Wirnsza — PRZESADY — PIW, cena zł 10.
- Konstanty Simonow — KĄDY DZIEŃ JEST DŁUGI, KiW, cena zł 10.

## SPEKTAKLE tygodnia

TEATR		
JARACZA w teatrze ROZMAITOŚCI	„Namiestnik”, 7 spektakli	4347 — 98%
7.15	„Taka noc nie powtórzy się więcej”, 3 spektakle „Dobrze skrojony frak”, 2 spektakle	2460 — 100% 1644 — 100%
OPERETKA	„Życie paryskie”, 7 spektakli	5716 — 75%
NO WY	„Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 2 spektakle „Pan Drops i jego trupa”, 3 spektakle „Panna młoda”, 1 spektakl	1400 — 100% 2000 — 90% 700 — 100%
MALA SALA	„Kartofka”, 3 spektakle „Ojciec”, 3 spektakle	600 — 100% 450 — 75%
POWSZECHNY	„My fair lady”, 3 spektakle „Derby w pałacu”, 1 spektakl „Tajemnica starej wierzby”, (bajka dla dzieci) 3 spektakle	1900 — 99% 500 — 85% 1980 — 100%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	1395 słuch. 100%

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje



Ze Colas: „Czterech, o których się mówi”.

## MALARZE DAJĄ SWIADECTWO SWYM CZASOM

Nie jest przypadkiem, że tegoroczny Salon „Malarze jako świadkowie swych czasów” w Musée Galliera w Paryżu poświęcony został tematowi „Piosenka”. Piosenka bowiem stała się dzisiaj nieodłączną cechą naszej epoki. Jest wszędzie, towarzyszy nam na ulicy, w domu, w kinie, w lokalach rozrywkowych. Uiega

modzie, ale i sama wplęła w ogromnie na modę. Na wystawie, znalazły się wizerunki słynnych pieśniarzy i piosenkarzy, bądź też dzieła, które oddają treść i nastrój popularnych piosenek, albo też obrazy, które przedstawiają bohaterów piosenek (np. trzech dobowców). Na wystawie spotykamy portrety takich wybitnych artystów, jak Juliette Gréco, Yves Montand, Edith Piaf, Charles Trenet, Gilbert Bécaud i innych.

## TRAGICZNA ŚMIERĆ GRECKIEGO RZEZBIARZA

Czterdziestodwuletni rzeźbiarz pochodzenia greckiego, Gerakimos Sklavos, zginął niedawno w swym atelier w Paryżu na skutek tragicznego wypadku. Sklavos uruchomił elektryczną maszynę do kawy i doznał porażenia prądem i to w ten sposób, że nie mógł oderwać ręk od przyrządu. Gdy po dziesięciu minutach udało mu się uwolnić dłoń, okazało się, że przebił ją aż do kości. Jak zeznali sąsiedzi, wyszedł następnie na miasto i wrócił do swej pracowni wieczorem. Ponieważ nie było tam jeszcze światła, rzeźbiarz w ciemności strącił na siebie pięćsetkilogramową bryłę z granitu, nad którą ostatnio pracował. Rano znaleziono go martwego pod masą kamienia. Gerakimos Sklavos urodził się na greckiej wyspie Kefallini. Ukończył szkołę sztuk pięknych w Atenach, a następnie odbywał podobne studia w Paryżu. Uprawiał rzeźbę abstrakcyjną. Wiele z jego dzieł znajduje się m. in. w muzeach w Quebecu, Montrealu, Nowym Jorku. Jedną z jego ostatnich prac jest monumentalna rzeźba w Delfach. Dzieło, nad którym pracował w granicy, przygotowywane było na paryską wystawę

na wiosnę tego roku. Przez wiele lat Sklavos żył w ciężkich warunkach, niemal w nędzy. Śmierć spotkała go w momencie, gdy te trudności miał za sobą. W roku 1961 został zaszczytnie wyróżniony na biennale w Paryżu.

## W SETNA ROCZNICĘ URODZIN BLASCO-IBANEZA

W Menton, we Francji, obchodzone niedawno setną rocznicę urodzin Blasco-Ibaneza. Vincente Blasco-Ibanez, wybitny pisarz hiszpański i działacz demokratyczny, urodził się w 1867 roku w Walencji w Hiszpanii. W roku 1924, z powodu swych demokratycznych przekonań i działalności politycznej, musiał się udać na wygnanie. Zmarł w styczniu 1928 roku w Menton. Do najważniejszych dzieł tego pisarza należą powieści: „Wesoła Walencja”, „Przeklęta ziemia” i trylogia o czasach wojny pt. „Czterech jeźdźców Apokalipsy”.

Setną rocznicę urodzin pisarza zostanie uczczona w Walencji nadaniem jego imienia jednej ze szkół licealnych, jednej z alej w Walencji oraz wzniesieniem popiersia pisarza.

Syn Blasco-Ibaneza, Sifrido, znajdujący się tak- że na uchodźstwie, oznajmił ostatnio w Menton, że nie wróci do Hiszpanii pod reżimem gen. Franco, mimo zachęty generała.

wykorzystał swe wykształcenie. Czy będzie śpiewał piosenki? — spytał dziennikarze. Tak — odpowiedział Antoine. Będę komponował i śpie- wał jak zechce. Tymczasem jednak przestał występować na estradzie, nie nosi już koszul w kwiatki i nawet obciął włosy.

Ostatnio na angielskich listach bestsellerów pojawiło się trzech bliżej nieznanym u nas wykonawców zza oceanu. „Keith” tak brzmi pseudonim 21-letniego James'a Barry Keefer'a. Zadebiutował on w sierpniu 1966 r. nagraniami „Ain't Gonna Lie”, które spotkały się z niezbyt przychylnymi recenzjami i przeszło bez większego zainteresowania. Po tym pierwszym niepowodzeniu, piosenkarz nie pokazywał się przez kilka miesięcy w wytwórni płytowej. Dopiero pod koniec roku nagrał swoją następną płytę o dziwnym tytule „98,6”, która w tej chwili cieszy się tak dużym powodzeniem.



## NAJWIĘKSZA OD 1884 R. WYSTAWA DZIEŁ MANETA

W Chicago odbywa się wystawa dzieł Maneta, największa od 1884 roku. Ekspozycja zawiera bowiem około 200 dzieł, które wypożyczono z amerykańskich muzeów i galerii sztuki, sprowadzono z Luwru (np. słynne „Śnia-

danie na trawie” lub „Olimpia”), wypożyczono z Londynu i od prywatnych kolekcjonerów. Edouard Manet (1832-1883) był jednym z najwybitniejszych współczesnych impresjonistów. Sławę swą zawdzięcza Manet głównie temu, że stał się prawdziwym mistrzem w przedstawianiu postaci ze współczesnego mu wielkomiłośnego życia paryskiego.

Amerykańska grupa The Royal Guardsmen posiada wszystkie cechy angielskiego zespołu beatowego, począwszy od nazwy a skończywszy na wyglądzie. The Royal Guardsmen znaczy Gwardia Królewska, zespół składa się z sześciu długowłosych i bardzo kolorowo ubranych chłopców. Nagranie „Snoopy V. The Red Baron” jest ich debiutem płytowym. Piosenka ta opowiada o jednej z bitew podczas I wojny światowej.

## ZAGADKA „MEBLI Z RÓŻANEGO DRZEWA”

Od lat ponad trzydziestu historii literatury i miłośnicy twórczości Anatola France'a próbują definitywnie rozwiązać zagadkę dotyczącą powieści „Mebli z różanego drzewa”. Powieść ta, jako dzieło France'a, została po raz pierwszy opublikowana w końcu zeszłego wieku w jednym z czasopism węgierskich. Wyszła następnie z druku jako oddzielna książka w Budapeszcie w roku 1896. Już wtedy wzbudziła wątpliwości czy jest dziełem France'a. Zaczęła przeważać opinia, że to nie wielki pisarz francuski jest jej autorem, lecz jeden z węgierskich literatów. W jakimś czasie potem zaczęto mówić, że „Mebli z różanego drzewa” napisała żona profesora Charastli, tłumaczka literatury francuskiej na język węgierski. Zagadkowa kwestia autorstwa powieści wciąż intrzygowała znawców literatury. Tymczasem powieść ukazała się w przekładzie z węgierskiego na niemiecki, początkowo w czasopiśmie „Sonntag”, potem jako książka. Tłumaczono ją z języka węgierskiego na rosyjski, a nawet rzekome dzieło France'a ukazało się w tłumaczeniu na... język francuski. W roku 1959 ukazało się nowe węgierskie wydanie. Spór o autorstwo wybuchł z nową siłą. Jedni ze znawców literatury twierdzili, że „Mebli” są istotnie

dziełem France'a, inni gwałtownie temu zaprzeczali. Wreszcie sprawa tą zajęło się Towarzystwo im. Anatola France'a. Stwierdzono, że mimo poszukiwań nie udało się na terenie Francji, ani znaleźć rękopisu „Mebli z różanego drzewa”, ani też nie natrafiono na jakikolwiek ślad, że rękopis taki kiedykolwiek istniał. Oświadczanie tego rodzaju zostało przez Towarzystwo opublikowane w prasie, i to w związku z tym oświadczeniem nadeszło pismo z Filadelfii, w którym niejaka Katarzyna Polgar twierdziła, że jej rodzice znali doskonale profesora uniwersytetu węgierskiego, wykładowcę języka francuskiego D. Charastli i jego żonę, tłumaczkę. Autorka listu komunikowała, że w jej rodzinie doskonale wiedziano o tym, iż to profesor wraz z żoną napisał „Mebli z różanego drzewa”, podpisując powieść nazwiskiem francuskiego pisarza. Zrobił to dla żartu, aby zakpić sobie z niektórych budapeszteńskich snobów, pozujących na niezwykłych znawców literatury francuskiej. Garnitur mebli z różanego drzewa, identyczny z tym jaki został opisany w powieści, stanowił po prostu u meblowanie mieszkania państwa Charastli i był sprowadzony z Paryża.

Rewelacje te wymagają jednak jeszcze potwierdzenia. Gdyby się okazały prawdziwe, wygasłby wieloletni spór o autorstwo powieści.

Tamla Motawn skądinąd w tej chwili jedyną piosenkarz muryjski jest niewątpliwie jedną z najbardziej znanych i cenionych wytwórni płytowych. Podczas każdego nowego nagrania w studio zbierają się wszyscy przyjaciele i znajomi nagrywającego. Na jednym z takich spotkań Marvin Gaye poznał Kim Weston i w ten sposób powstał bardzo popularny obecnie duet Marvin i Kim. Marvin Gaye posiada bardzo bogatą przeszłość muzyczną. Nagrał on już dużą ilość płyt solowych, jest utalentowanym kompozytorem, gra na gitarze pianinie i perkusji. Kim Weston śpiewa już od dłuższego czasu, nagrała także kilkanaście płyt dla różnych wytwórni płytowych. Dopiero jednak kontrakt z Tamlą Motawn i nagranie piosenki „It Takes Two” wspólnie z Marvinem Gayem otworzyło jej drzwi do wielkiej sławy.

Niedawno zaszły zmiany personalne w zespole Czerwono-Czarnych. Grupa tę opuścił saksofonista Bizon oraz wokalista Maciej Kosowski. Ostatnio mówił się, że M. Burano ma opuścić Niebiesko-Czarnych i utworzyć własną grupę. Tymczasem były członek Niebiesko-Czarnych Cz. Niemen wystąpił w telewizji z własnym już zespołem Akwarele.

J. J. J.

# POLONICA

## POLSKIE HASŁA

Ukazała się w Moskwie „Kratkaja Literaturnaja Encyklopedia”, tom trzeci, obejmująca hasła od Iakow do Laxness. W tym mie, bardzo sumiennie opracowanym, uwzględniono następujące nazwiska polskich pisarzy dawnych i współczesnych: Jarosław Iwaszkiewicz, Karol Irzykowski, Franciszek Karpiński, Jan Kasprzowicz, Zygmunt Kaczkowski, Juliusz Kleiner, Sebastian Klonowicz, Franciszek Kniżnin, Władysław Kowalski, Józef Kozłowski, Hugo Kolłaj, Maria Konopnicka, Gabriel Korbut, Janusz Korczak, Jan Kochanowski, Zygmunt Krasiński, Ignacy Krasicki, Józef Ignacy Krzewski i Leon Kruczkowski.

## WSZYSTKO O POLSCE

II (listopadowy) numer wydawanego w Düsseldorfie miesięcznika „Begegnung mit Polen” (Spotkanie z Polską), który dotarł do nas dopiero teraz, zawiera wiele ciekawych artykułów. Numer otwiera artykuł Ryszarda Matuśkiewicza „Mała historia literatury polskiej”, następnie Ida „Myśli” Witolda Gombrowicza, dział dokumentacyjny poświęcony został Kongresowi Kultury Polskiej, zaś w części literackiej znajdujemy fragment z „Chłopów” Reymonta, opowiadanie Stanisława Grochowiaka, wiersz Arno Reinfranka „Polka” oraz Władysława Broniewskiego „Na śmierć rewolucjonisty”. Numer, jak zawsze, uzupełniają bogata kronika polskiego życia kulturalnego w kraju i za granicą oraz dział recenzji książkowych (recenzja niemieckiego wydania „Idzie skaczac po górach” Andrzejewskiego i „Nienasyceńca” Witkatego).

## ODZNACZENIE PROF. FABRE

Prof. Jean Fabre, wykładowca literatury francuskiej (Wiek Oświecenia) na Sorbonie, a przy tym doskonały znawca polskiej kultury, został odznaczony godnością profesora honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego. Prof. Fabre jest wyborem znawcą Mickiewicza i jego związków z francuskimi encyklopedystami. Niedawno „Nouvelles Littéraires” ukazał się świetny esej Fabre'a o Stanisławie Leszczyńskim. W listopadzie przewodnił czuł on w paryskim Instytucie Slawe na odczyt Juliana Przybosa o poezji współczesnej.

(W. N.)

# POLONICA



## SPITTELER? A któż to taki?

Dobrzy ludzie przystali mi ze Szwajcarii ładnie wydany tom, zawierający „Pisma krytyczne” (Kritische Schriften) Carla Spittlera. Rozczytałem i rozsmakowałem się w nich. Podbiła mnie jasność i klarowność myśli tego pisarza oraz to, co nazywamy zdrowym rozsądkiem w podejściu do spraw literatury. Carl

Spittler! Któż dziś pamięta, że był to w swoim czasie pisarz głośny i że uznano go nawet godnym nagrody Nobla, która otrzymał w roku 1919. W Polsce znana jest z przekładu bodaj jedna tylko jego powieść „Imago”, ogłoszona w słynnej Bibliotece Laureatów Nobla przez poznańsko-lyowskie Wydawnictwo Polskie. Czas grzebie niełosiście wszystko, co niegdys było pisano. W pamięci pokoleń ostają się tylko rzeczy najlepsze, a i to nie zawsze. Przypomnijmy więc Carla Spittlera, choć nie ma ku temu żadnej specjalnej okazji: ani okrągłej rocznicy urodzin czy śmierci autora, ani też wzniesienia wyczerpanej dawno jego powieści. Będzie to przypomnienie, podyktowane osobistą sympatią piszącego te słowa, któremu Spittler, tym razem jako krytyk i publicysta, wydał się osobowością godną najwyższej uwagi.

Carl Spittler, używający także pseudonimu Carl Felix Tandem, urodził się 24 kwietnia 1845 w Liestal niedaleko Bazylei, a zmarł 29 grudnia 1924 r. w Lucernie. Żył długo, bo prawie 80 lat. Był pro-

testantem i studiował teologię, aby — jak sam mówił — poznać wroga we własnym obozie. Jego słynna powieść nie: „Idea boska? Jeśli jeden zwierz pozerą drugiego!” Oze nił się późno (jako człowiek czterdziestoletni) z młodą dziewczyną z Holandii i wtedy porzucił belferkę gimnazjalną, która dała mu się porządnie we znaki. Najpierw był nauczycielem prywatnym w bogatych domach Rosji i Finlandii, później, po powrocie do kraju, w szkole dla dziewcząt w Bernie i Neuvecelle. Przeszedłszy do pracy w dziennikarstwie dał się poznać jako utalentowany publicysta bernieńskiego pisma „Schweizer Grenzpost”, a w latach 1890-1892 jako felietonista „Neue Zürcher Zeitung”.

Pisał glosy na tematy wydarzeń politycznych, ogłaszał recenzje z przedstawień operowych i teatralnych oraz z książek. Jego siła jako krytyka ujawniła się przede wszystkim w krótkich szkicach i esejach. W tym, co pisał, brał w obronę samotnego twórcę przed literacką cinią przemysłową, klikami

i każdym teoretycznym dogmatem. Spittler stał z dala od wszelkich szkół, kierunków i przełomów artystycznych swojej epoki. Nie należał ani do realistów, ani do naturalistów, ani do impresjonistów, ani do ekspresjonistów. Sam nazywał siebie estetycznym idealistą, ale jako ateista z przekonania, zwał również idealistą. Zafascynowany pesymistyczną filozofią Schopenhauera, odnosił się sceptycznie i z niechęcią do idei i dążeń, które za jego życia rozpalaly umysły.

Odziedziczywszy (nieoczekiwanie) sporą fortunę, zerwał z dziennikarstwem i zajął się już tylko twórczością literacką. Epik, howelista, satyryk, autor ballad i komedii — był Spittler autorem wszechstronnym, chociaż nie we wszystkich dziedzinach jednak dopisywało mu powodzenie. Na przykład: jego komedie teatralne nie osiągnęły nigdy sukcesu na żadnej scenie. Na tomiast powieści i ballady poetyckie przyniosły mu rozgłos i sławę. Obok Ferdynanda Meyera i Gottfrieda Kelle-

ra uważany jest za najwybitniejszego przedstawiciela dzieła wiktoriańskiej literatury światnarskiej. Zwalczany w czasie wojny światowej i bojkotowany przez Niemców za swoją postawę pokojową, zyskał sobie w innych krajach respekt i uznanie.

Zebrał „Pisma krytyczne”, od których zacząłem mój felieton, dają przegląd spraw i problemów, które Spittlera absorbowaly. Układają się one w pewien system poglądów na sztukę i literaturę. Spittler pisze o talencie i powołaniu pisarza, o skromności i stylu, o światopoglądzie i społecznym sensie literatury, o epice i liryce, wreszcie o swoich współczesnych, nie szczędząc im, jak np. Hermannowi Bahrowi, słów ostrej przygany. Miara talentu i przenikliwości Spittlera jest to, że wypowiedzi jego opary się niszczącemu działaniu czasu. Pisane siedemdziesiąt i więcej lat temu, brzmią jeszcze dziś świeżo, a nawet nie pozbawione są trwałej aktualności. Aby dać czytelnikom pojęcie, co zawierają „Pisma krytyczne” Spittlera, przytoczę jego króciutki szkic pt.

„O oryginalności”. Oto on: „Zaden prawdziwy pisarz nie zakłada sobie nigdy dążeń do oryginalności. Jeśli jest w bitną osobowością, to oryginalność przyjdzie sama z siebie, ku zadowoleniu jego i jego czytelników. Jeśli nie — to nie ma lepszej drogi do oryginalności, czyli do specyficznych przemiętoń, niż wykonać rzetelnie swoją dziegę. Kto wciąż to czyni, a więc, dla przykładu, kto w prozie stara się pisać prosto i rozumnie, ten już tym samym odróżnia się potężnie od większości, albowiem nie ma nic rzadziej spotkanego, niż rzetelność i prawda”.

PS. Przeczytałem na święto „Imago” Spittlera. Przekład Franciszka Mirandoli pośpieszny i miejscami nawet niechlujny, ale sama powieść ciekawa i oryginalna. A może by tak ktoś z wydawnictw wznowił „Imago”?

Jan Kasprowski

# MORALE NOSĆ PO SZWEDZKU

KORESPONDENCJA  
WLASNA)

Szwed mówi: — „Jesteś właścicielem swego serca, umysłu i ciała; możesz z nimi czynić, co ci się żywnie podoba”. I tak jest rzeczywistość. W Szwecji bowiem każdy przyjmuje na siebie pełną odpowiedzialność za własną moralność. Jaka jest jednak praktyka, jakie konsekwencje? Ta sprawa interesowała mnie najbardziej.

Artykuł zbudowałem z kilku autentycznych obrazków i anegdot. Wnioski niechaj wyciągnie sam czytelnik.

Policja sztokholmska rejestruje codziennie 20-30 kradzieży samochodów. Sprawcami są młodociani złodziejaskowcy, najczęściej dziewczęta w wieku 16-18 lat. Mniej więcej, co tydzień likwiduje się w stolicy Szwecji młodzieżowy gang.

Oto obrazek: Jest późny wieczór, ulice zalane blaskiem tysięcy świateł. W centrum miasta zjawiają się skórzanoobluzi, długowłosi chłopcy z Dürgoden. Z drugiej strony nadchodzą ci z dzielnicy Kaszanej. Podobni do tamtych, tylko czapki inne — w Kaszanej modne są obecnie zamszowe „bandytki”. Wokół chmara dziewcząt. Nogi „do środka ziemi”, mini-spódniczki ledwie kryją pośladki, panny bujne, śliczne, jasne włosy puszczone luzem na ramiona. Pótem przeraźliwy gwizd — jeden, drugi, trzeci. Do ataku idzie Kaszana; w jednym szeregu chłopcy i ich płowolność przyjaźni. Rozlegają się trąbki. To znak, że Dürgoden przyjmuje walkę. Wpadają między rozpedzone samochody, objają się o ich maski, w powietrzu niesie się przekleństwo i plugawe słowo. W ruch idą metalowe sztabki, „sprężynówki”, kastety. Ulica w tym miejscu pustoszeje. Toczy się bitwa dwóch gangów, dokoła zalega złowiesz-

cza cisza. Trwa to 10-15 minut. Nagle rozlegają się przeraźliwe syreny, zjawia się kilkanaście aut i kilkudziesięciu policjantów. Na placu bitwy zmiany następują teraz błyskawicznie — przegrupowanie sił. Ci z Dürgoden jednoczą się z Kaszaną, wspólnymi siłami uderzają w policję. Starcie jest krótkie; chuligani szturmują wprawdzie zajadłe, a na wozy policyjne lecą butelki, lecz po kilkunastu minutach górę biorą sprawnie i ze znajomością rzeczy pracujący policjanci. Lamią się szyki Kaszany, cofają się chłopcy z Dürgoden, pierwsze uciekają dziewczęta. Do zakratowanych wozów wędruje kilkudziesięciu chuliganów.

Jeszcze chwila i ulica wraca do normalnego stanu. Jest znowu ruchliwa, tętniąca życiem i gwarem.

Co tydzień zamyka się w Sztokholmie kilkanaście splenek narkomanów. Najwięcej ich znajduje się w starej, pochodzącej z XV wieku części miasta — na Rycerskiej Wyspie. Korzystanie ze środków podniecających jest rzeczą powszechną, rozpowszechnioną szczególnie wśród młodych chłopców i dziewcząt. Narkotyki są tutaj chlebem powszednim słabych i pustych, sytych i znudzonych. Są chlebem prostytutek.

Oto drugi obrazek: Późna noc, zgiełkliwe centrum miasta — Farsta. Ulice w warunkach tysięcy świateł. W tym rejonie mieszczą się najliczniej lokale strip-teasowe, wszelkiego rodzaju bary, kina non-stop o programach porograficznych. Reklama imponująca; ogromne afisze i zdjęcia — nagie dziewczęta w pozach najbardziej wymyślnych prezentują swą wdzięk. Na ulicach sporo ludzi, a wśród nich... całe gromady prostytutek. Dobrze ubrane, ładne, palą cygara, fajki i papierosy. Są bardzo młode, wiele nie przekroczyło 13 lat. Halaśliwe, nachalne, czu purne, malowane dzieci. Przejżdża samochód, ktoś kiwnął palcem — już siedzą obok kierowcy. Dopadły starszego pana, który mógłby być ich dziadkiem. Dwa dzieciaki chwytają go pod ramię i dosłownie ciągną do pobliskiego hotelu. Tu nikt nie zwraca uwagi na wiek dziewcząt, nikogo nie obchodzi późna pora, wszystko

jest w najlepszym porządku, byłoby grubym nietaktem interesowanie się takimi sprawami...

Zajrzymy jeszcze do hotelu. Jest godzina pierwsza w nocy, w długim korytarzu II piętra zjawia się nagle... nagusienka dziewczyna. Kołysze biodrami, jest kompletnie pijana. Wyszła z pokoju, aby... zrobić siusiu i nie umie trafić z powrotem. Goście hotelowi przechodzą, nikt nie zwraca na nagusienkę specjalnej uwagi, nie stanowią do sensacji, prawie nikogo nie obchodzi, nie interesuje.

Mimo woli pomyślałem o ojezycznym kraju. U nas w takim wypadku przybiegli by zapewne podnieceni pracownicy recepcji, zatelefonowano by po dyrektora hotelu, a może i po głównego księgowego, z całą pewnością zjawiliby się milicjanci. Mandat murowany. A tam — nic; po 10 minutach podszedł do dziewczyny pan w szlafroku, wziął ją grzecznie za rękę i zaprowadził do właściwego pokoju.

Pozwólcie, że opowiem Wam jeszcze o kilku historiach.

Pracownikiem biura polskiego radcostwa handlowego w Szwecji jest młody absolwent Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego p. Andrzej K. Normalną w tym wieku koleją rzeczy zakochał się w przystojnej Szwedce. Dziewczyna pochodziła z szanowanej inteligentnej rodziny. Rodak nasz, zawsze mile i serdecznie widziany, często bywał w domu swej wybranej. Szczególną sympatią darzył go jej ojciec. Podobał rzucał się ten inteligentny, dobrze ułożony, rokujący nadziej na przyszłość Polak. Wkrótce młodzi zaręczyli się, a p. Andrzej wyjechał do Polski, aby załatwić przedślubne formalności. Wrócił po kilku tygodniach i ku swemu wielkiemu zdumieniu stwierdził, że stosunek przyszłego teścia do niego uległ zasadniczej zmianie. Ojciec dziewczyny przyjął go bardzo chłodno, traktował niemal jak powietrze. Okazało się później, że — po rozmowie z córką — miał do niego ogromny żal, iż w okresie narzeczeństwa... nie żył ze swą przyszłą żoną. Uważał to za nietakt, za osobistą obrazę, czuł się głęboko dotknięty. Pan Andrzej najpierw zbawianiał, potem żarliwie tłumaczył, że

takie rzeczy w Polsce zdarzają się, że polska rycerstwo, szacunek wobec przyszyłej „małżonki nakazują... Nikogo nie przekonał...

W robotniczych rodzinach takimi sprawami, jak ta, którą chce teraz opowiedzieć, nikt się specjalnie nie przejmuję. Biegna one naturalnym, rzecz można, biologicznym torem rzeczy. Inaczej jest w rodzinach inteligentnych. Gdy w rodzinie takiej dziewczyna przekroczy 15 rok życia, matka obowiązkowo idzie z nią do ginekologa. Chodzi o wszechstronne zbadanie, o wyjaśnienie córce, jak powinna się zachowywać i co czynić, aby... nie mieć kłopotu w wyniku utrzymywania stosunków seksualnych. W Szwecji bowiem uważa się, że dziewczyna 15-16-letnia powinna (a nie może), jak każda dojrzała kobieta, prowadzić normalne życie płciowe. Dlatego też za sprawą matki przeprowadza się odpowiednie badania grupy krwi i stosownie do niej załatwia u lekarza specjalisty... długo działające środki antykoncepcyjne.

I jeszcze jedna historia — tym razem program telewizyjny. Do studia sprowadzono 5 uczennic z szóstych klas gimnazjalnych. Była to tzw. audycja prowadzona na żywo. Spiker pytał, dziewczęta pojedynczo odpowiadały.

Oto rozmowa:

— Jeśli przychodzisz późno do domu — czeka cię burza?

— Tak, czeka; mama robi awanturę.

— Uważasz to za słuszne?

— Nie, nie uważam.

— Jeśli będziesz mieć tyle lat, co mama i córkę w twoim wieku, czy będziesz robić jej wymówki, gdy wróci późno do domu?

— Tak, będę na nią krzyżować.

W niemal identyczny sposób odpowiadały wszystkie dziewczęta. Na następne pytanie nie odpowiedziała jednak żadna. A pytanie to brzmiało: — „Z wieloma chłopcami żyłaś dotychczas?” Dziewczęta nie speszyły się, wprost przeciwnie, serdecznie się śmiały. Odpowiedzi nie było zaś dlatego, że żadna z dziewcząt takiej statystyki nie prowadzi, że nie jest to dla nich pro-

blem godny głębszego zastanowienia. Widzowie dostrzegali nawet okragle, zdumione oczy: pytać o takie zwyczajne rzeczy? Jedna tylko z pannie w szczerości ducha i jednocześnie z tupetem zauważyła: — „Miałam tyłu chłopców, ilu chciałam, ale to nikogo nie powinno obchodzić. To wyłącznie moja sprawa”...

Wróćmy do początku. Tyra razem głos zabierze Szwedka: „Hańbą jest nie stosunek z mężczyzną, lecz brak poczucia odpowiedzialności za własne postępowanie”.

Trudno o definicję. Z pewnością jesteśmy niewolnikami pewnych konwencji obyczajowych i moralności szwedzkiej. Ukształtowała te sądy nasza miara spojrzenia. Nasza, to znaczy odmienna niż w Szwecji. Inny tam bowiem kraj i inna gleba, z której ta obyczajowość i moralność wyrasta. W Polsce zwykły miarę własną postawę miarą konsekwencji, jakie z niej płyną dla społeczeństwa. Szwedzi twierdzą, że czynią podobnie. Może i czynią...



## Lewym okiem

PODDANI HRABIEGO MORTADELLI

Gdy Jacek i Placek z pięknej powieści Makuszyńskiego „O dwóch takich co ukradli księżyc” przybyli do pewnego miasta, rządzonego przez burmistrza hrabiego Mortadellę, zdziwiło ich, że wszyscy mieszkańcy byli garbaci. Sprawa jednak wyjaśniła się szybko: hrabia Mortadella był garbaty naprawdę, a ponieważ stanowił najwyższą władzę — wypadło uznać go pod każdym względem za wzór do naśladowania. W mieście panowała więc moda na garbate plecy, do czasu, gdy obalono Mortadellę. W momencie przestępstwa obywateli z ulgą wyciągali spod kaftanów i fraków słomiane garby i podrzucali je w górę z dziecięcą radością. Cóż, za chwilę ogłoszono imię nowego burmistrza, hrabiego Saradelli, garbatego od przodu. Natychmiast nowa moda zmusiła mieszczan do wypchania słony z powrotem pod fraki — tym razem na piersiach...

W 1795 roku wjechał szumnie do Warszawy, znajdującej się w wyniku trzeciego rozbioru pod panowaniem pruskim, król Fryderyk III z żoną, piękną królową Ludwiką. Miejskowe eleganki mające zaszczyt uczestniczyć w długiej seryj balów i festynów z udziałem pary królewskiej, natychmiast przejęły od pięknej władczyni modę

noszenia obróżki na szyi, za arystokratkami poszły damy miejscowych rodów, od nich obróżki przeniosły się dalej i dalej. Piszę o tym pamiętnikarz ówczesny, Falkowski, wyjaśniając przy tym, że królowa nosiła swoją obróżkę „dla zakrycia rosnącej na jej podgardlu woli, która ujmg czyniła jej amazońskiej piękności...”

Zbigniew Cybulski nie był burmistrzem ani królem, sprawował jednak rodzaj władzy nad wyobraźnią mas, zwłaszcza młodzieży. Wrażenie oczu zmuszała go do noszenia ciemnych okularów. Setki tysięcy młodych ludzi zaczęło nosić ciemne okulary, chociaż nie mieli zagrożonych spojówek.

Oto źródło powstawania mody, w ubiegłych wiekach chyba jedyną, a i dziś — jak widzimy — nie zanikłe zupełnie, choć usunięte w cieniu przez wielki byznes, naśladowanie, malpowanie, choć upodobnienia się choćby w najmniejszym szczegółu do kogoś wielkiego, wybitnego, obspanego łaskami fortuny.

Mistrz, który strócił królową Ludwikę, nie myślał ani przez chwilę o „lansowaniu mody”, jak dzisiejsi francuzcy i angielscy przedsiębiorcy. Królowa nie zdrawała sobie sprawy, że gra rolę modelki, „cover girl”, gwiazdy filmowej lub estradowej, narzucającej wzory ubierania się, czesania, chodzenia i uśmiechu. Dopiero całkiem niedawno funkcje te wzięli na siebie zawodowcy i zrobili z mody jeszcze jedną specjalność, tym się różniąc od innych, że wymyślając — i to w ciężkim pocie czoła — potrzeby, które ma zaspokajać.

Weszlśmy bowiem w okres zwariowanego tempa produkcji, zalewającej świat potopem towarów, a jednocześnie w okres specjalizacji pracy. Mówili klasycy ekonomii, że potrzeby ludzkie są nieograniczone. A przecież tak naprawdę nikt nie potrzebuje dwudziestu par butów, co rok nowego auta, co drugi rok nowych mebli i co tydzień nowej sukienki. Trzeba te potrzeby lu-

dziom wzmocnić, bo może się okazać, że wcale nie potrzeba produkować tak dużo, uruchamiać nocne zmiany, skrać produkcję do ułamków sekund. Armie specjalistów we wszystkich krajach świata wymyślają więc modę, ośmieszają jedne rzeczy, wychwalają inne, wypetniają miliony stron w czasopiśmie, zurnalach, przeglądach, każą modnikom wyginać się groteskowo, wchodzić po drabinach, stawać na uszach i skakać z wody na most. Na bal — tylko sukienki proste jak koszulki, napisze „Kobieta i Życie”, w grudniu na bal tylko suknie bardzo luźne, musi być luźno — ogłosi „Przekrój” w tym samym czasie. Więc jak: prosto, czy luźno? Czy może bardzo luźne koszulki? Nawet ten sam „Przekrój” 6 listopada każe nosić pamiotki płaszcze-namioty, szerokie, bardzo szerokie, a w tydzień później „płaszcze male, przyciasne”...

Kto za tym nadaży? Nikt. Odrobinę tylko zimnej krwi, nie damy się zwariować. Wiadomo, że większa część leków pomaga świetnie aptekarzom. Moda raduje serca i kieszenie twórców i karnościściej mody. Jak zaczniemy wszyscy bez przerwy wszystko przerabiać, wyrzucać nie odczekawszy rozsądnego zużycia, nicować, odnawiać coraz szybciej, coraz częściej — o rany! — nie tylko nigdy do niczego nie dojdziemy, nigdy nigdzie nie zdążymy, nigdy zwyciężymy, bez zwycięst i kompleksów nie odpoczniemy, ale po prostu rozkręcą się w nas ostatnie śrubki i żadne elenium nie poradzi.

Może by więc na początek zamieszczać przeglądy mody nie częściej niż raz na miesiąc? Albo ciut obniżyć „siatki plac” parających się modą artystów? Albo przynajmniej raz na rok wyciągnąć wszystkie garby i wynaturzenia z przodu i z tyłu i pobyć trochę poza modą, we własnej skórze, jak mieszczanie do upadku hrabiego Mortadelli?

ĆWIEK